

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

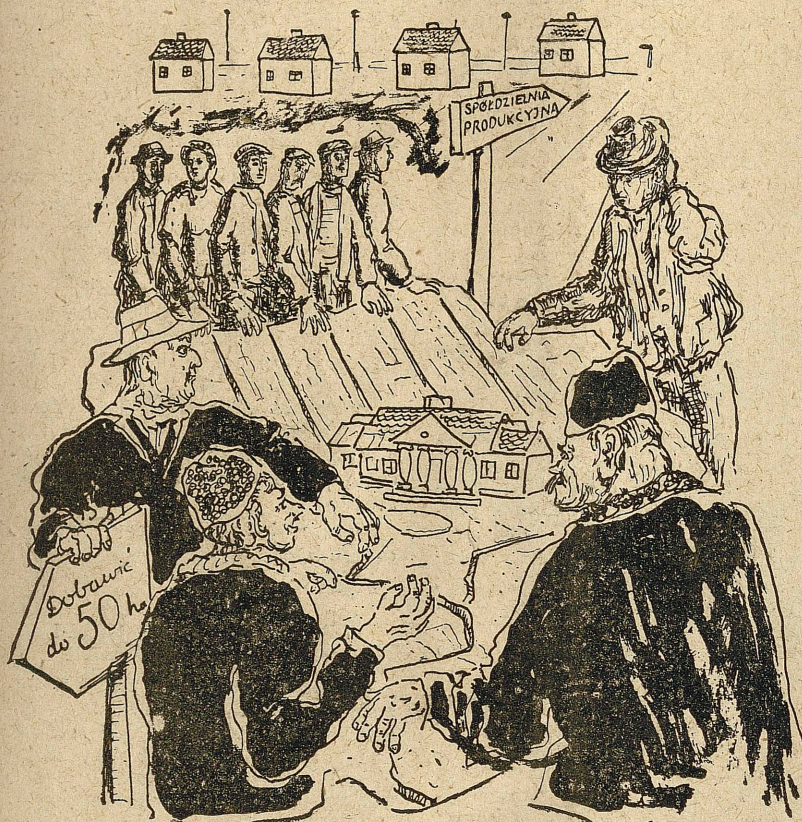
Warszawa, dn. 13. II. 1951 r.

Nr 7 (290)

WŁADYSŁAW MACHEJEK

KU WIOŚNIE

(Fragmenty powieści)



rys. St. Gierowski

WŁADYSŁAW UDALSKI

W NATARCIU

(Rozmowa z przyjacielem)

Pamiętasz, dzień już w mrok obrastał —
w pokoju, który z oczu ginał
przy nędznej lampce czytaliśmy Marksa
późną godziną.

Za oknem czas kroplami sekund
snuł o niedoli bolesną opowieść,
kiedy z gorących stroniec „Manifestu”
rósł człowiek.

Pamiętasz, jak groziła banda
za znaczek plonącą na piersi
za łopocący dumnie sztandar
czerwony we wsi.

Nocami podciągali pod domy
gdzie przy kopciuszkę skupioną gromadą
młodzi i starzy — biedota — łomem
stary świat rozwalając, władzę

brali odważnie. W takie chwile — znienacka
przez szybę rozciąga zza węgla
biła kulą wściekłość kulacka,
nożem niejednego dosięgła.

Pamiętasz, kozły już grały na wietrze —
z nami i nami rosły świetlica i szkoła,
wiecha — godło zetempowskie — przestrzeń
darła jak żagiel — pot spływał z czoła;

wtedy w noc niespokojną, ciemną
dłoń, co w szeregach czyniła wylomy
zdradzieckim jadem, potajemnie
zazęgła piomień.

Wtedy spiętrzony gniew — wiosenne wody —
falami kierując natarcie
runął w opasle, kulackie zagrody: —
powstała Partia.

Dzień upalny wygaśł
święto.

Cisza skupiona.
Tłum ludzi.

Twarze gorące, napięte —
Z zadumy głos dzwiny przebudził
W myśl chłopską

w zmierzch chłodny, dojrzały

w dom

w serce wioski

co się czerwienią cegieł w mrok worał
spłynęły światła kremłowskie — głos Moskwy
zwycięską pieśnią o traktorach.

Przyjaciele w ten głos zasłuchani!
Towarzysze walk nieustannych!
wyostrzoną leninowską myślą
młodzi i starzy piersią naprzd podani
rozwijamy natarcie w przyszłość.

Zginęło osiem krów! — Pietrusz-
kowa załamywała chude ręce, aż
stawy chrzęzczały. — Zginęły,
wpadły w wodę.

Józef przywlokł się właśnie ze
wsi, usiadł okrzakiem na ławie. Na
czerniałą twarz kładły się cienie.
Te krowy były przede wszystkim
jego kłeską. Dzieci miały dwadzie-
ścia kilka krów, dziesięć uprawa-
dził ekonom Cwiling przy pierw-
szych hukach ofensywy uciekają-
cych w daleki świat. W daleki, do
Cwiling nigdy z nimi nie wróci —
sam Pietruszka założyłby mu stry-
czek. Zostało piętnaście krów. Do je-
dnej przynależał się karbowy, do
drugiej oborowy, do trzeciej kuchar-
ka, eh... Te osiem, nad którymi roz-
toczono fornalską opiekę, znikły
dziś w nocy. Zasnął Pietruszka, czy
co? Zachodził Józef do wsi, przy-
gnębiony i zarazem surowy. Wpadł
do obory Wilka. — Sa! Aż trzy! —
Wilki futrują konie za przegród-
ką pod jakieś nowe wesele — prze-
chylił głowę nad poręczą i ukłonił
się pogardliwie.

— Ach, dzień dobry komisarzo-
wi. Krówki się spodobaly? Kupione
za moją krwawicę! Próbuj je za-
bierać, to siekiera głowę urąb —
zagroził. W prawie będą. Czytałeś
gazety? Ja czytałem takie oświad-
czenie, że w Polsce nie ma żadnej
rewolucji.

Józef zaczął się sprzeczać. Wilk
przerwał mu grubiańsko. — Ucie-
kaj, bo ja spuszczę. To samo u-
styszysz, gdzie indziej... Idź do Cheb-
dzioka, pchaj się do krów, to jego
zięć Ludwik obiecał prochu ci na-
sypać pod ogon.

Faktycznie nie było celu spraw-
dzać dalej. Z góry wszyscy wie-
dzieli, kto się we wsi wzbogacił dzie-
dzicowskim dobytkiem. — Nie dzie-
dzicowskim, fornalskim! — krzy-
czeli fornale. — Nie fornalskim na-
szym! — podnosiła swoje pretensje
biedota.

A Jaś Zalepiec za kim? Murarz...
Cóż murarz ma wspólnego z zie-
mią?

Józef zasnął jeszcze do sołtysa,
by dowiedzieć się, czy nadszedł ja-
kiś okólnik w sprawie reformy rol-

nej. Najwyższy czas przeciąć dra-
żliwą sytuację.

— Bardzo mi miło o tym dowie-
dzieć się — zaczął sucho sołtys —
ale nic takiego nie ma. Jest tylko
— zakrzętnął się rękami po szufla-
dzie — pismo, że... oto czytacie...
Władza mię prosi, bym pełnił dalej
sołtysostwo. Sprzykrzyło mi się to,
bo każdy na sołtysa ostrzy zęby.
(Biedota najbardziej nie rozumie,
że ja jestem przecież dla wszyst-
kich). Ale znieś to dla naszej ko-
chanej władzy.

— Och, ty... och ty psu brat — po-
myślał Józef. — Rewolucja na pro-
wincji nie toczy się, lecz wlece...

Na zowodzenie Pietruszkowej nie
zważał. A już miała tak
ważną minę... Na pewno jednak
krowa „Wikta” (tę se upatrzyła)
przypadła, by w podziale dla Pie-
truski. Józef zapalił papierosa,
wzdychał, kaszlał, i nie mógł za-
pomnieć o kłesce. W tej samej spr-
awie, że spuszczała głowę przyszedł
chmurny Jaś Zalepiec. Szepnął dłu-
go z Józefem, nie dali się oderwać
od rozmowy nawet zaproszeniem
do miski obiadowej. Pietruszka
przezornie usunął się z miską w kąt,
sładi na kuftrze, i nawet nie chlapił,
by zwracać jak najmniej na siebie
uwagi.

Pojadł, oblizał łyżkę, ostrożnie
położył na ciepłym piecu, starł gru-
bymi palcami mokrąść z długich,
ciężkich wąsów i niepytany wyznał
szczerze:

— Diabeł mnie chyba zaślepił...
Ah czemu polazłem pod pańskie
okna? Od tyłu przypatrzeć się
chciałem jak se żyje dziedziczka
pod koniec. Ciekaw byłem, co robi
pleban...

Szyja mu nabrzmiała od żył, głos
bił w piersi, jak młot.

— Dziedziczka przyjechała księ-
dzowymi sankami — opowiadał da-
lej — karminowała pysk, uróżowi-
ła, że jak róża wyglądała. Oj, co
to panowie mają za sztuki... A po
zmocy pysk wydry...

Brwi Józefa gniewnie się zała-
mały.

— Takiś stary i taki głupi! — o-
burzył się — oj... to już przylgnie
do ciebie.

W NUMERZE:

L. BORYSOW — Na wsi jugosłowiańskiej.
L. GOLINSKI — Nim zapiał kogut.
J. JEROME — Źródła rasizmu hollywoodzkiego.
M. SAŁTYKOW-SZCZEDRIN — Historia pewnego miasta.
Z. MACUŻANKA — W Chinach...
ST. PIĘTAK — Wiersze.

W. NAŁKOWSKI — Ucieczka na łono natury.
P. CHMURA — Kulak — faszysta.
E. MARTUSZEWSKI — We Włoszech de Gasperiego.
D. KĘPCZYŃSKA — Wieś węgierska.
M. PIECZYŃSKI — Szczedrin — wielki demaskator.
P. PIGWA — Trzeba dbać o „prawą rękę”.

Pietruszka podniósł obie ręce na
wszelki wypadek do twarzy, jakby
w obawie przed uderzeniem. Na
twarzy palił się ogień wstydu. Jó-
zef odepchnął kopyść Pietruszkowej.
— To nie zabawna sprawa... Pok-
piliśmy. Straciliśmy dwa dni... Dwa
dni! — powtórzył głośnie. — Kuba
zwołał fornali i wieś, będziemy
dzielić dworskie pola. Sołtys chce,
czy nie chce, nie będziemy czekać.
List do niego od towarzysza Obro-
wicz zginął w drodze, czy u niego
w piecu. Wszystko jedno!

Clarki przesyłał po plecach Pie-
truski.

— Jakto, sami? Sobie będziemy
dzielić, czy jak?

— Misje ksiądz proboszcz ogłosił.
Przyspiesz...

— Nic to... Biedotę zawiadomić,
że dostaje pole w pierwszej kolej-
ce.

*

Uciekali ludzie przed wieczorem
z kościoła, jak przed atakiem.

— Jak to dziwne — zaczęła po
drodze Wiktorowa — brnąć po śnie-
gu. — W sąsiedzkiej Murawicy
ksiądz jakiś inny. Wczoraj był u
mnie kuzyn, to mówił, że ich
ksiądz mówił z ambony bita godzi-
nę o sprawiedliwości... Tamten pro-
boszcz chętnie z ludźmi pogada,
biednego wspomóż. Nie każe sprze-
dawać ostatniej pierzynki na po-
kropek trumny. To też i galimatia-
su nie ma przy parcelacji.

— Franciszkowa! — zgniała Cheb-
dziokowa — jakże wy pojdziecie do
spawidzi? Zycze wam dobrze! Ja
odpowiadam w kole żywej róży za
waszą duszę. Poskarżę księdzu to,
to... co gadacie. Muszę!

Nie wchodząc do swojej wyro-
bicznej chaty, Wiktorowa udala się do
czworaka Pietruszki, gdzie „urzedo-
wał” Józef. Ostatnie kilkadziesiąt metrów
szła coraz wolniej. Doskwierał jej
ból podobny do tego, gdy dowiedzia-
ła się o śmierci jedynaka z rąk pań-
skich. — Oj Boże, Boże — jęczała.
Krzyż, grzy ręce, a „oni” na swo-
je kopyto cię przerobią. A misjo-
narzowi... (czyjemu misjonarzowi?)
kreśli się gęba bez przerwy, jak
bzuł.

Nad wykazami i nieporadnymi

planami siedzieli, wysłepiając oczy
przy karbidówce, Józef, Pietruszka
i Jaś Zalepiec. Pokurzone fornalki
obsadły łózką, jak muchy lep,
chciwie słuchały wiadomości, wy-
czytywanych przez Józefa z gazety:
„Ominawszy od południa Pilę, gru-
pa Armii Radzieckiej wdarła się na
szerokość 45-ciu kilometrów, a 25
kierunków w głąb Rzeszy i zajęła
miejscowości: Trzciankę, Wolden-
berg i Drezdenko. Manewr ten zda-
je się zmierzac do odciążenia dywizji
niemieckich, operujących na Pomo-
rzu...” „Czołwki sowieckie zbliży-
ły się na odległość 150 kilometrów
od Berlina...” „Na południu i po-
łudniowy zachód od Katowic od-
działy armii marszałka Koniewa
znajdują się w Marszu na Moraw-
ską Ostrawę...”

Knot w lampie trząsał. Józef
przerwał, wświdrował się słabymi
oczami jeszcze raz w przeczytany
komunikat. — Ja już czytałem, że są
dalej wojska sowieckie...

Aa — zrozumiał. — Wik-
torowa, siadajcie.

— Chciałam powiedzieć — zaczę-
ła drząc — żebyście mnie skreślił
z tej ziemi.

Jaś Zalepiec wybałuszył oczy.
— Co wy! Co wy! Tyle z wami
gadałem!

— Zaraz, zaraz, powoli — wtrą-
cił się Józef. — Robiliście dotąd
gdzie?

— Nie pytajcie — zaczęła z nie-
chęcią — już raz mi gadali, to wiem,
czego chcecie... — Zwiesiwszy ni-
sko głowę, wybałuszyła: — Nie chcę
lepiej i nie chcę gorzej. Mało mam,
ale więcej mi nie trzeba.

— Czyli, macie w sam raz... —
zakpił Jaś i zadął głowę z urazą.

Zawahała się z odpowiedzią, za-
chlapiła z goryczą. — Dajcie mi
spokój, jak diabeł na duszę leccie.

— Uspokójcie się — delikatnie
perswadował Józef. — Stajecie w
poprzek rządowym i partyjnym dą-
żeniem. Powiedziałbym nawet, że
rewolucji przeszkadzacie... za czy-
jąś podmurówką.

— Oj, oj — chlapiła — nie wie-
cie to, jak się koniowi dostanie lejc
pod ogon...? Jak mu źle! Tak i ze
mną...

Na moment nastąpiła cisza. Tylko
knot w karbidówce trząsał w ci-
szy głośnie.

— To lubicie, Wiktorowa, dzie-
dzicę? Może nie on był pośrednim
sprawcą śmierci waszego syna?

Szarpnęła się. Niepozorna, za-
strachana twarz spurpurowiała.

— Oni się z wami tak nie cacka-
li. A wy się cackacie. Po co? Cóż
to on — naród? Jeden człowiek to
naród?

— A ksiądz proboszcz? — zapy-
tała.

W tej chwili wszedł Gaj, brat Jó-
zefa. Stał na środku izby, stopy
zwrócił śmiesznie do środka i szep-
tem wyznał: — Właśnie był u
mnie misjonarz, nazwał mnie zaka-
łą wsi... Ksiądz się pytał, kto mnie
zobolszewizował. Odpowiedziałem, że
bieda. Proboszcz obiecał od dziś
plecić za dniówki na plebani, to mi
się poprawi.

— A zanosiliście kury i jaja na
misję? Zawsze nosiliście baby ze wsi,
a teraz? Ano nie, prawda? A cze-
mu?

— Bo nikt się misji nie spodzie-
wał.

— Przyspieszono?

— Przyspieszono...

— No to co? — oburzył się Gaj.
— Od księdza misję zależa, nie od
nas. Cóż to misje — spółdzielnia,
żebyśmy tam radzili?

— Ktoś jednak finansuje to
przedsięwzięcie... — ciągnął nieu-
błaganie Jaś, który „wyrobił” się
przez te ostatnie dni przy Józefie.

— Jakże znów „przedsięwzięcie”...
Błuzniesz... Ze ci też język nie sta-
nie kółkiem.

— Zaraz... Zaraz...! Ale gadał to,
co misjonarz o religii? No gadał —
co?

— Nie gadał, to prawda — razem
przytaknęli Wiktorowi i Gaj i w
roztargnieniu przebiegli oczami po
zasłuchanych fornalkach.

— O czymże gadał? Ciągłem... do
znudzenia.

Nie odpowiadali. Pomogli im.

— Żeby nie brać ziemi...

— No tak.

— No to w czym imieniu tak za-
klina? W imieniu Boga czy dzie-
(dokończenie na str. 2)

STANISŁAW CIESŁAK

Początki rewolucji agrarnej

Rewolucja agrarna w Polsce, prze-
budowa ustroju rolnego w okresie
przejścia od kapitalizmu do socjaliz-
mu, która rozpoczęła się w Polsce w
r. 1944 wielkim dekretem P.K.W.N. o
reformie rolnej od początku miała
i musiała mieć charakter antyku-
lcki.

Odmienność okresu reformy rolnej
od dawnych, przedwojennych etapów
walki klasowej, polegała jedynie na
tym, że pracujący chłopstwo, dzielące
się opanowaniu klas robotniczą ziemię
obszarniczą, stanęło w latach 1944—
1946 po raz pierwszy twarzą w twarz
z kulakami.

Do tego czasu głównym wrogiem
pracującej wsi był obszarnek, stosu-
jący formy przede wszystkim ekono-
micznego, ale również i feudalnego
wzrostu i wyzysku. Poza plecami nie-
jako obszarnictwa i zrosniętego z nim
kapitału finansowego działał na wsi
kulak, który opanowawszy przedwo-
jennych ludów dążył do rozłado-
wania rewolucyjnych nastrojów i dą-
żeń podstawowych mas chłopskich
na drodze UGODY z kapitałem, a la-
wirując w roli pośrednika sam jed-
ynie z tej ugody czerpał korzyści.

Nie tylko interesy obszarńcze ale
i kulackie interesy miały na wzglę-
dzie przedwojenna reforma rolna
przeprowadzona na podstawie ustaw
z lat 1920 — 1925, dzięki której ok.
60 proc. ziemi rozparcelowanej przez
obszarńców (a ściśle sprzedanej
przez nich po nieprawdopodobnie wy-
sokiej cenie, przekraczającej nieraz
wartość 20-letnich zbiorów), trafiło
do rąk kulackich. Umocniła się w
tym czasie również zależność od ku-
lactwa zadłużonej biedoty, zwłaszcza
tej jej części, która zdecydowała się
na kupno ziemi od obszarńców.

Interesom kulackim służyła rów-
nież cała przedwojenna polityka ko-
munistyczna, która w latach 1919 —
1937 objęła ok. 770 tys. gospodarstw
o powierzchni ponad 5 milionów ha i
przyniosła im waleńie do umocnie-
nia napół folwarcznych gospo-
darstw kulackich. Te same cele przy-
świecały i stymulowały akcje znoszenia

serwitutów oraz likwidacji wspólnot
gromadzkich, rozdrapywanych przez
kulaków z krzywdą pracującego
chłopsztwa.

Swoisty, również jednolity obszar-
niczo - kulacko - hitlerowski sojusze
polityczny ukształtował się w okre-
sie okupacji hitlerowskiej w Polsce,
dzięki któremu główny ciężar kon-
tyngentów, przymusowej robotnicy
(nierzadko poza granicami kraju) i
ostrego braku artykułów przemysło-
wych spadał na barki jedynie mało
i średniorolnych chłopów.

Ale te ciosy, które z rąk kulactwa
spadały na pracującą część wsi i
przed wojną i w czasie okupacji i za-
dawane były z ukrycia, z poza pleców
obszarńców czy okupantów.

Wilcze pazury pokazał kulak o-
twarcie i wyraźnie dopiero w czasie
reformy rolnej. Zastłone „reprezen-
tanta wsi” i „naturalnego obrońcy
interesów chłopskich”, pod którą ob-
łudnie ukrywał kulak swe wilcze
apetyty, zerwał dopiero dekret o re-
formie rolnej z 6 września 1944 roku.

Przekreślił on bowiem zdecydowanie
rachuby kulactwa, snującego w cie-
niu delegatury londyńskiej marzenia
i plany o nowej kulackiej reformie
rolnej, która utworzy „samodzielne,
zdolne do życia” gospodarstwa wiel-
kocłopskie, oraz, utrzymując kar-
lowate gospodarstwa chłopskie, za-
bezpieczy gospodarstwom kulackim
dostateczną ilość tanich rąk robo-
czych. Kulak nie mając odwagi prze-
ciwstawić się wprost dekretovi, któ-
ry przekreślił jego rachuby, na utra-
cenie jego ekonomicznej i społe-
cznej pozycji na wsi, zgodnie ze swą
naturą podstępnie przystąpił do wy-
kradania ziemi z rąk państwa ludo-
wego. Dzięki poparciu Mikołajczyka
i jego kluki, która na pewien czas
opanowała Ministerstwo R. i R. R.
oraz przy osłabionej czujności partii
robotniczej, naskutek odczytania pra-
wicowca - nacjonalistycznego w kie-
rownictwie PPR, wielu synków kulac-
kich otrzymało ziemię i inwentarz
a spora ich ilość wzięła sobie kilku-
dziesięciohektarowe, obficie zaopa-

trzone w inwentarz i maszyny,
gniazda na terenach Ziemi Odzyska-
nych, wbrew duchowi i literze de-
kretów o reformie rolnej i osadni-
ctwie na Ziemiach Odzyskanych.

O niedopuszczeniu do takiej po-
stępnej kradzieży ziemi rozpoczęła
się pierwsza większa bitwa klasowa
między pracującym chłopstwem a ku-
lactwem na wsi, bitwa, która w kon-
cu roku 1947 w oparciu o rewizję
norm nadziału ziemi przerodziła się
w ruchy o pierwszą wielką ofensywę
pracującego chłopstwa na pozycje
kulackie.

I dlatego wspominając okres refor-
my rolnej, burzliwe lata 1944—1947
podkreślić trzeba nie tylko to, że da-
ła ona pracującemu chłopstwu na
własność ponad 6 milionów ha zie-
mi, ale i to, że ukazała ona pracują-
cemu chłopstwu wilcze pazury kula-
ctwa i zmobilizowała znaczną liczbę
biedoty do walki o obronę tego zapa-
su ziemi przed zachłannością bogacza
wiejskiego.

W toku przeprowadzania samej re-
formy rolnej, a zwłaszcza w okresie
naprawiania jej błędów klasowych,
przerastała ona z aktu wyłączenia
ANTYOBZARNICZEGO w akt równie-
ż ANTYKULACKI. I to sprawiło,
że oddanie pracującemu chłopstwu
NA WŁASNOŚĆ ponad 6 milionów
ha ziemi, nie tylko nie umocniło na
wsi kapitalistycznych stosunków pro-
dukcyj (jak o tym marzyli agrarzyści,
zwolennicy „trzeciej siły” między
walczącymi na śmierć i życie obzo-
mi kapitalizmu i rewolucji proletari-
ackiej), ale wprost przeciwnie sta-
ło się (w warunkach dyktatury pro-
letariatu) faktem, który umożliwił
przejście znacznej części pracującego
chłopsztwa z pozycji rezerwy bur-
żuazji na pozycje rezerwy proletaria-
tu, umożliwił w toku zaostrzającej
się walki klasowej ich coraz żywszą
i pełniejszą udział w trwającej i roz-
wijającej się w Polsce socjalistycznej
rewolucji agrarnej, której począt-
kiem stała się reforma rolna.

I o tym należy pamiętać.

STANISŁAW CIESŁAK

Ku wiośnie

(Dokończenie ze str. 1)

dzica? Bóg powinien być sprawiedliwy — zastrzegł. Przecież w takie go wierzyłem... Przekonałem was?

Ożywny Gaj przytaknął: — masz rozumek w głowie, Jasie...

Znów upłynęło dwa dni. Józef wziął na rozmówkę sołtysa.

— Chcicie nam, sołtysie, pomagać w parcelacji?

Sołtys skrzywił się drwiąco. — Ja tu jestem od tych spraw. Cóż to tak rzadzić się, jak szara gęś? Jeszcze wam nikt nie pokazał drogi do miasta? To ja to mogę zrobić — krzyknął z góry. — Rozporządzenia wykonawczego nie ma. Rozumiecie się na tym?

Józef zgryzł w sobie gniew. Niezbity z tropu wyciągnął z wytarte go pugilaresu zmięty papier. Podsunął sołtysowi pod nos.

— Nie ślepym... Papier.

— Pieczęć Partii nieważna?

— Partij jest dużo.

— Ach ty... — żuł przekleństwo.

— A to skierowanie od Obrowicza do pomocy w parcelacji w Stró-
żach?

Sołtys zmilkł nieco, tłumacząc się dalej brakiem wykonawczych poleceń. Po drugie — ładny mroźnik, dobrze się młóci pszenicę... I wesele u Walińców...

— Pszenica nie ucieknie.

— Ziemia też...

— Zwolajcie na pojutrze zebrać całą gromadę. Wysłałem już pismo do Pleszowa z żądaniem przyjazdu kogoś. Tu sytuacja wymaga natychmiastowego przecięcia.

Rozmowa stała się publiczną tajemnicą, każdy czekał na sołtysowe powiadomienie.

*

Sprawa przyjęła inny obrót, gdy zbliżała się godzina trzecia popołudniu. Przez wieś ku „pustelni” przemierzali gromadnie fornale na czele z Pietruszką i Grelą. Rozniosło się, że z Pleszowa przyjechał Antek Bijak... Zaraz przycwalał sankami sołtys, za nim Wilk i Chebdiok.

Gaj wskazał u Cebryzna na przemysłkającą sylwetkę. — Jak oni jadą, to coś niedobrze się święci.

— Znów na swoich skrzypcach zagają — zerknął Cebryzn na zapłakaną żonę i poglaskał ją nieboleną, prawą ręką. — Pójdę, pójdę... Nie ślimacz się. A niech mi nie później zabiją. Śladem Cebryzna poszło jeszcze trzech „badaczy” — Mi-
ziolek, Sarna, Nedza.

Czytał Antek Bijak z wymiślo-
szonej w kieszeni kartki zasady re-
formy rolnej. Stanowczo brzmiał
początek i ciepło, po matczyńemu.
Słuchali wszyscy uważnie, aby nie
opuszczyć ani jednego słowa. Wierzy-
li się nie chcieli, że tam gdzieś u gó-
ry tak wszystko obmyślił od A do Z.
Paragraf za paragrafem likwidował
panowanie obszarnika. Pa-
ragraf za paragrafem mówił do
chłopów: — bierzcie ziemię, wasze!
Czekaliście tyle lat, bierzcie! w 37
roku strzelali granatowi do was w
Raciawicach za takie żądania, te-
raz spełniły się wasze marzenia.

Skończył. Postąpił jeszcze chwilę,
przypatrywał się zebranyemu każde-
mu z osobna i potem usiadł.

— No, co wy na to?

Nikt nie odpowiadał. Bardziej się
tylko ścisnęli. Ci z tyłu, z sieni,
pchnęli się za próg.

— Podobają się?

— Podobają, mówcie „podobają” —
zachęcał podchmielony sołtys lizu-
sowato.

— Ino jedno, panie komisarzy,
czy jak cię tam tytułowali? — zgła-
szał nieudolnie Jadam Szczepka.
— Wszyscy chcieliby, ale boją się. No
nie?

Przez izbę przeszedł zgodny po-
mruk.

— Czego? — spytał groźnie An-
tek i powstał, jakby szukał wroga
w tłumie.

— Że odbierają i wstyd tylko.

— Albo gorzej...

— No...

— Lepiej dziś o gacie się nie u-
pominać, niż jutro portki ścigać,
tak ostrzegają, — poinformował Ja-
dam.

Przyszli tu chłopcy z innym obli-
czem, nieznany im samemu przed-
tem. Zaciągnęli się sytością nowych,
pulchnych skib. Rozszereżony wid-
nokreśl. A najwięcej biedota. Ma-
jacyzjo jej w głowach, że już
przed byle kim nie będzie zginać
karku. Bo gdy ziemi więcej, to i
człowiek na wsi więcej wart. Niech
się dochowa krowy bezrolny, nie
będzie labidził o kropelkę mleka
dla dzieci. — Niech się dochowam
drugiej krowy i konia — myślał
Gaj olśniony — to już Wilk czy
sołtys nie będą mieli żadnego pra-
wa uragać — to bidokuu... Przez te
kilkaście minut smakowali bied-
ni wymarzoną zapłatę za lata udre-
ki, strachu.

Wtedy ruszył się Wilk, rozepchnął
wszystkich koło siebie, jakby wyjść
chciał z takiego towarzystwa. Bied-
niejsi sami się usuwali o małą sto-
pę, bo i cofać się nie było gdzie. A
on tymczasem dla ruchu rąk robił
prześcier. Przy gadaniu lubił
trząść się, niby ksiądz na ambonie.
Potoczył dokoła białkami i wyce-
dził przez zęby, potężnie i z roz-
mysłem:

— Moi mili i Bóg by nam nie
przebaczyl...

Antek zbłądził. Pozostawał przez
moment pod bolesnym wrażeniem,
że to jastrząb wpadł między bez-
bronne ptactwo. Zdecydowanie
przerwał.

Kto się modli pod figurą, ten
ma diabła pod skórą.

Czekali ludziska na taką nagane.
Była dokładna i w ich języku. Wyr-
wała z otupienia i przywróciła grom-
adzie odwagę.

— A już!

— A prawda!

— Największy złodziej, to zaw-
sze Bogiem się zastania!

Przypierali do muru chłwica, pro-
styimi dowodami. I z powrotem
zwarił się tłum, jak przetętem, na
plecach Wilka, na piersiach, aż go
ciarki przebiegły w obawie bicia.
Ale oni teraz już jeden przez dru-
giego gadali, że nie ma czego się
bać, bo ziemia tych, którym potrzeb-
na dla chleba, a nie dla zbytków.

Z pogromu ocalał Wilk.

— To wybieracie komisję na-
działową — nadbiegło z za stołu od
Antka i robotników rolnych. Spra-
widliwie, jak w tym, co przeczyta-
łem. Pięciu może być w komisji...
Szosty sołtys. Do nadziału ile do-
kładnie ziemi? Sołtysie, pamiętacie
dobrze?

Sołtys już ochłonił. Pamiętał, że
co wziął od dziedzica dwie krowy.
— „Nic nie wiecie — upominał dzie-
dzic — że w Wiclanacu leży moich
50 ha. Co was to obchodzi? Wyka-
żecie, co u was figuruje w groma-
dzie. Tamto jeszcze przed ofensy-
wą sprzedałem co bogatszym”.

— Bezmała 300 hektarów... Bez
pięciu hektarów chyba — poważ-
nie skupił czoło. Zaraz zdecydował:
grupy będą, jeśli później nie złapię
ze dwa hektary z Wiclan.

— Stawy i 10 hektarów łąki zo-
stają wydzielone, jako resztówka
— obwieścił Antek.

— Pod kołchoz — wyseplenil pod-
sołtys Pindera cicho, ale słyszało go
kilku w koło.

— Powachaj co to, a dopiero
strasz...

— Podajcie kandydatów do komi-
sji — przebił się głos Antka.

— Z fornali trzech — zapropono-
wał głos Józefa.

— Za dużo — zlekka się wieś pra-
wie zgodnie. — Wilk udawałniał
Matusikowej: — sobie oni wezmą
co najlepsze, a wam płaski jak
i sapy. Chebdiok szeptał Gajowi:
Zawzięli żyłymi w zgodzie, bo jako
chłopi z dziada pradziada dogada-
my się.

— Iluż ich jest razem? Piętnastu,
a nas prawie setka.

— Niech będzie dwóch — zgodzi-
li się fornale.

— A kto?

— Grela i Pietruszka...

— To teraz gromada niech wy-
bierze swoich...

Tłum się rozdzielił na grupki. Ra-
dził, by nie przegrać sprawy. Spra-
widliwych trzeba podać, którzy by
nie zechcieli wzbogacić się krzywdą
ludzką i nie dali za butelkę wódki
kumotowi kawałek gruntu.

— Gaj — zaproponował Cebryzn.

— Nie, nie! — zaprotestował kan-
dydat. Zaczernił się. Zacięcie się
bronil. — To Cebryzn lepszą gło-
wę ma — on z kolei zaproponował,
jak to na wsi bywa często, by się
odwzajemnić. Dwóch nas braci zre-
szta... — powiedział.

— Słusznie.

Antek zapisał na karteczce Ce-
brzyna. — I kto jeszcze?

— Jadam Szczepka.

— Zgadacie się? — zawahał się
Antek. — Tylko jak straszny bę-
dziecie, to my was postraszymy —
zagroził po przyjacielsku.

— Gromada uchwalila, gromady
będę słuchał — odpowiedział nie bez
udanej pokory. — Wspólny nasz
los.

— Nie ma się czego bać — ktoś
go, spóźniony, podtrzymał na du-
chu.

— Gromada chce... — powtarzał
sakramentalnie Jadam.

— E, Jadam — poklepywano go
— zawsze umie kadzieć...

— Trzeci sołtys z urzędu — ogło-
sił Antek lakonicznie, przejrzały
w międzyczasie swoje szpargały.

— A czwarty Chebdiok — za-
proponował Wilk, któremu wrócił
po porażce tupet.

— Ale...

— Bogacz!

— A może ciebie? — przygadywał
nienawistnie Jaś Zalepiec, który
dopiero co wszedł. — Masz 15 hek-
tarów, to jeszcze ci drugie tyle do-
łożyć. Masz wózek, to se wolant,
jak dziecko, kupisz, albo wycyga-
nisz...

Przetrząsał Wilk przygadywania
ludzkie. Nieustępliwie stał przy swo-
im.

— Sprawiedliwie ma być — pew-
nie przekonywał.

— A tak to będzie sprawiedliwie,
dzieci go... Jak to nie chciał brać,
Bogiem straszyl... — to przemówił
niebiedny Janek Kula.

— No... to ja bym — sołtys obja-
ster — proponował do kompletu
Szymka Szymurę. On nie bogaty
średniak...

Józef kiwnął głową.

Władysław Machejek

Lubomir Borysow

Na wsi jugosłowiańskiej

„Rabotniczesko Delo” (organ
Bulgarskiej Partii Komunistycznej)
w kilku styczniowych numerach
wydrukowało reportaż polityczny,
który poniżej zamieszczamy. Fakty
przedstawione w reportażu wskazy-
wałyby na to, że reportaż ten napi-
sał człowiek, żyjący w Jugosławii,
znający dobrze obecną sytuację
na wsi jugosłowiańskiej. Należy
przypuszczać, że reportaż swój na-
pisał on po serbo - chorwacku i
przesłał do Bulgarii, gdzie prze-
tłumaczono go i wydrukowano
pod powyższym pseudonimem.

O czym opowiada reportaż?
O ciężkim życiu mas pracują-
cych Jugosławii, szczególnie chłop-
stwa pracującego, które klika bel-
gradzka postuluje wykonującą
rozkazy swych panów z Wall Streetu,
wyzyskuje i terrorizuje w naj-
straszliwszy sposób.

Taką jest sytuacja na wsi jugo-
słowiańskiej; taka jest sytuacja
w kraju, w którym rządzi szajka
morderców i szpiegów — zdrajców
własnego oraz międzynarodowego
ruchu robotniczego.

REDAKCJA

1) „BRUDNA ROBOTA”

Na środku drogi wyrósł przed na-
mi granatowy mundur. Zatrzymuje
mój wóz. Zbliża się policjant; mowi:
„Musisz udać się do sąsiedniej wsi
Władimirovac i pyta, czy możemy
go podwieźć”.

Przejeżdżamy przez banatską miej-
scowość, Nowo Selo.

Spoglądam na sąsiada. Granatowy
mundur policjanta zmięty i zabrud-
zony leży źle na jego spasionym,
gnusnym ciele. Spod furafurki wy-
gląda kancista twarz z twardym za-
rostem i małymi, głupimi oczkami.
Podkrążone oczy wskazują na zme-
czenie, mój „towarzysz podróży” sil-
sił się, by nie zasnąć. Zauważywszy, że
go obserwuje nagle zdradza swą ga-
datliwość.

— Dokąd jedziecie, towarzyszu —
zapytuje.

— Do roboty — odpowiadam nie-
chętnie.

— Ja także — spieszy z informa-
cją. — Służe wsi Nowo Selo, ale
muszę jechać do Władimirovac. U
nas już zrobiliśmy porządek, a te-
raz postanowiliśmy to samo zrobić
tam. Robota idzie kłopotliwie. Chłopi
jak nie chcieli, tak nie chcą dać
pszenicy. Ale jednak jakoś dajemy
sobie radę.

Patrzę na niego ze zdziwieniem.
Zapewne uważa nas za jakichś dy-
ktatorów belgradzkich i chce się po-
chwalić. Ledwie zdążyłem przerwać
mu i spyta:

— Iluż ich jest razem? Piętnastu,
a nas prawie setka.

— Niech będzie dwóch — zgodzi-
li się fornale.

— A kto?

— Grela i Pietruszka...

— To teraz gromada niech wy-
bierze swoich...

Tłum się rozdzielił na grupki. Ra-
dził, by nie przegrać sprawy. Spra-
widliwych trzeba podać, którzy by
nie zechcieli wzbogacić się krzywdą
ludzką i nie dali za butelkę wódki
kumotowi kawałek gruntu.

— Gaj — zaproponował Cebryzn.

— Nie, nie! — zaprotestował kan-
dydat. Zaczernił się. Zacięcie się
bronil. — To Cebryzn lepszą gło-
wę ma — on z kolei zaproponował,
jak to na wsi bywa często, by się
odwzajemnić. Dwóch nas braci zre-
szta... — powiedział.

— Słusznie.

Antek zapisał na karteczce Ce-
brzyna. — I kto jeszcze?

— Jadam Szczepka.

— Zgadacie się? — zawahał się
Antek. — Tylko jak straszny bę-
dziecie, to my was postraszymy —
zagroził po przyjacielsku.

— Gromada uchwalila, gromady
będę słuchał — odpowiedział nie bez
udanej pokory. — Wspólny nasz
los.

— Nie ma się czego bać — ktoś
go, spóźniony, podtrzymał na du-
chu.

— Gromada chce... — powtarzał
sakramentalnie Jadam.

— E, Jadam — poklepywano go
— zawsze umie kadzieć...

— Trzeci sołtys z urzędu — ogło-
sił Antek lakonicznie, przejrzały
w międzyczasie swoje szpargały.

— A czwarty Chebdiok — za-
proponował Wilk, któremu wrócił
po porażce tupet.

— Ale...

— Bogacz!

— A może ciebie? — przygadywał
nienawistnie Jaś Zalepiec, który
dopiero co wszedł. — Masz 15 hek-
tarów, to jeszcze ci drugie tyle do-
łożyć. Masz wózek, to se wolant,
jak dziecko, kupisz, albo wycyga-
nisz...

Przetrząsał Wilk przygadywania
ludzkie. Nieustępliwie stał przy swo-
im.

— Sprawiedliwie ma być — pew-
nie przekonywał.

— A tak to będzie sprawiedliwie,
dzieci go... Jak to nie chciał brać,
Bogiem straszyl... — to przemówił
niebiedny Janek Kula.

— No... to ja bym — sołtys obja-
ster — proponował do kompletu
Szymka Szymurę. On nie bogaty
średniak...

Józef kiwnął głową.

Władysław Machejek

Niedawno opowiadali mi o chłopie,
Prodanie Gaszy, z sytnickiego po-
wiatu na Kosowie, który został za-
bity na miejscu, za to, że powiedział
w oczy granatowemu.

— Co to za rząd, który wymaga
ode mnie, żebym mu oddał to, cze-
go nie mam?

Z obu stron szosy rozciąga się uro-
dzajna nizin. Nic nie zakłóca rów-
nej linii horyzontu, który wydaje
się blisko, bardzo blisko. Na polu wi-
dać tylko tu i ówdzie konie i chło-
pów. Jest pora orki jesiennej. Py-
tam policjanta:

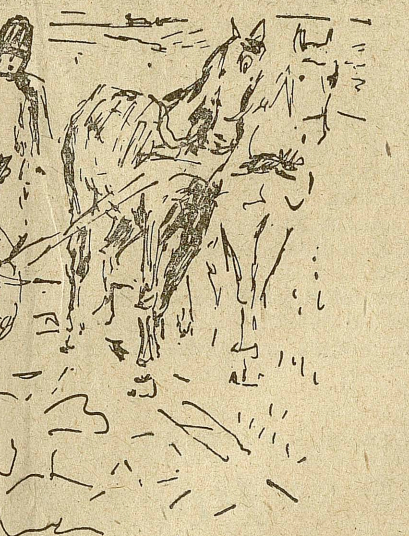
— Dlaczegoż to tak mało chłopów
na polach? Co u was teraz, nie orzą?

— Akurat jest pora orki — zauwa-
ża. — „Niedawno nawet mieliśmy
deszcz. Ale nasze chamy nie chcą
orać. Gadają, że nie mają ziarna
na zasiew. Przecież nie odebraliśmy
im wszystkiego. Ale niektórzy sięja,
owszem, bogacie. Im pozostało dość
pszenicy.



Małorolni (rys. St. Gierowski)

Jugosławia jest krajem rolniczym.
70 procent ludności żyje na wsi. Lecz
bogata ziemia nie jest w rękach lu-
du, nie służy jego potrzebom.
W przeddzień wojny 40 procent ob-
szaru siewnego znajdowało się w ręk-
ach kulaków. A było ich tylko
5 procent ogółu gospodarzy. Kulacy
wytworzyli 50 procent ogólnej ilości
dostarczanych kultur rolnych. Po
wojnie dokonana została „reforma
rolna”, rozdzielono część posiadłości
kolonistów niemieckich, oraz węgier-
skich i rumuńskich obszarników.
Lecz to nie zmieniło społecznej
struktury jugosłowiańskiej wsi. Gospo-
darka rolna nawet po dokonaniu re-
formy rolnej, pozostała w rękach
wielkich właścicieli: kulakowie nie
otrzymali decydującego głosu, prze-
ciwnie, otworzyli się dla niego szer-
okie i bogate możliwości. Kulacy



Na polu kulaka (rys. St. Gierowski)

— A gdzie teraz robicie porządek?
U bogatych chłopów? (Na mocy
uchwały K. C. titowskiej KPJ — w
Jugosławii nie wolno używać dosad-
niejszego i prostszego określenia:
„kulak”).

— Ależ nie — odpowiada policjant
— bogacie już dali tyle, ile powin-
ni byli oddać na kontygent. Ale in-
ni są przebiegli. Tłumaczą się, że
nie posiadają zboża, mają mało zie-
mi, dużo dzieci i jak tu je wyży-
wić... Dobrze powiedział towarzysze
Mizio (diabli wiedzą, co to za jeden
— z pewnością jego przełożony):
igają, hultaje, ukrywają. I tak się
rzeczywiście okazuje. Wpadamy pod
wieczór do wsi, szukamy i odnajdu-
jemy pszenicę.

— A czy dużo znaleźliście?

— Hm, nie dużo, ale dlaczego nie
mieliby oddać tego na kontygent.
Przecież zwolowano ich na konferen-
cję i powiedziano: najpierw oddaj-
cie wszystko, a potem zwrócimy wam
na jedzenie i na zasiew. Rozkaz jest
po to, żeby go wypełnić. Wiemy to
jeszcze z wojska.

Przerwam mu szybko i zapytuję:

— Czy zabrałiscie im tylko psze-
nicę, czy też ukraliscie ich jako
tych „którzy ukrywają”?

— Prawdę mówiąc, oni nie ukry-
wają, ale mówią: mam tyle a tyle,
ledwie mi wystarczy na zasiew i je-
dzenie — nie mogę dać. Więc przy-
ciskamy ich do muru i odbieramy
pszenicę. A jeżeli idzie o karanie —
karzemy ich również. Powiedzieć,
czy można postępować inaczej. Wią-
żemy ich i pedymy wprost do mia-
sta. Wczoraj zaprowadziliśmy do
Panczewca dwadzieścia osób. Wytoczą
im proces. Ale są i takie wypadki,
kiedy obywatel bez procesu. Wy-
sła się ich natychmiast na roboty
przymusowe w góry, albo do kopalni.
A zagrody upanastawiamy. Teraz
jest bardzo surowo.

Gdyby mi nawet nie mówili ga-
datliwy stróż porządku, wiem o tym.

1) gatunek winogron

2) gatunek wódki bałkańskiej

wa wygląda. Posiada on dużo ziemi,
zbiera bogate plony, bo ma maszy-
ny, może łatwo oddawać kontygent,
może żyć, zostawić na zasiew, może
dużo sprzedać po „wiązanym cenach”
i na wolnym rynku.

Titowcy wiedzą dobrze, że prze-
ważająca część pszenicy i innych kul-
tur rolnych znajduje się w rękach
kulackich — od nich należy jej za-
dać. Lecz kulak jest sojusznikiem
titowców. Nie mogą oni wystąpić
przeciwko niemu.

Dlatego też wymyślili „wiązaną ce-
ny”.

Każdy może sprzedać państwu psze-
nicę w wysokości 33.000 dinarów,
albo 6.500 kilogramów, za co otrzy-
muje adekwatnej wartości tak zwa-
ne „bony”. Są to kartki, za które
można otrzymać wyroby przemysło-
we po cenach normalnych. Pozostałe
wyroby rolnicze państwo kupuje w
nieograniczonej ilości. W ten spo-
sób w rękach kulaków gromadzą się
dziesiątki i setki tysięcy bonów. Pew-
ną część tych bonów zużywa kulak
na zakup maszyn, narzędzi, wyro-
bów włókienniczych, obuwia — w do-
datku po cenach 5 do 10 razy niż-
szych od cen tych samych artyku-
łów na czarnym rynku. Kulak jest
zachłanny, więc kupuje, jednak za-
wsze pozostaje mu dużo bonów. I tak
zaczyna się gromadzenie pieniędzy.
A biedniak i średniak, o których
nikt się nie troszczy musi odejmo-
wać sobie od ust ostatni kęs chle-
ba, albo pracować jako pługobek pań-
szczyzny na u kulaka, ażeby móc
kupić narzędzia rolnicze albo ubra-
nie. W Wojwodynie kulacy żądają
za jeden bon 5 do 20 dinarów (a ich
nominalna wartość wynosi 1 dinar).
I nikt ich nie karze, nikt ich za to
nie wtęga do więzienia.

— Ale to nie wszystko — ciągnie
dalej mój rozmówca, — nasi kulacy
są chytliwy. Zostawiają oni dość psze-
nicy także i na sprzedaż na wolnym
rynku. A my? Kontyngenty nasze by-
ły wysokie, sięgały 300 kg pszenicy;
nie pozostało nam nic, jak udać się



Przed chatą.

Pisma Nałkowskiego

Czytelnik będzie mógł wkrótce otrzymać wybór pism publicystycznych WACŁAWA NAŁKOWSKIEGO. Tom wydzie nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego. Poprzedzi go rozprawa prof. Stefana Żółkiewskiego, ukazująca z pozycji marksistowskich rolę naszej radykalnej inteligencji z przełomu XIX i XX wieku tak z tym, co ją obciąża, jak i przede wszystkim w tym, co stanowi jej niezaprzeczany wkład w budowanie naszych postępowych tradycji kulturalnych. Zdanem naszej polityki wydawniczej jest przypomnieć te tradycje i uczynić je bliższymi dzisiejszemu czytelnikowi.

Przypomnieć te tradycje, które fałszowała nauka burżuazyjna, dając nam niepełny i wypaczony obraz tych zmagani, jakie podejmowali nasi pisarze w walce o postęp i sprawiedliwość społeczną, rozpoczynając od Modrzejewskiego poprzez Kłkta, Jędrzejewskiego, Kostkę Stanisława Potockiego, Jędrzeja Śniadeckiego, Wercella, Helmana, Kamińskiego, Dembowskiego itd. aż do Nałkowskiego i innych. Nasi historycy literatury prawie że przemilczali Nałkowskiego, ponieważ walczył on z mitami jakieś ideologicznej burżuazji podsuwaliśmy nam klasowemu społeczeństwu, by zatrzeć problem walki klasowej, by odwrócić uwagę od zasadniczego konfliktu czasu, konfliktu: proletariatu — burżuazji; nasi historycy literatury przemilczali Nałkowskiego, ponieważ piętnował „polanieczystwo”, prowadził zartą ideologiczną walkę z Sienkiewiczem, pisarzem wspierającym swoją sztuką feudalno-kapitalistyczne stosunki.

Redakcja „Wiś”, która tak dużo Nałkowskiemu zawdzięcza za jego demaskatorstwo ludomani, — przytacza dzisiaj fragmenty szkicu Nałkowskiego „UCIECZKA NA ŁONO NATURY”. Szkic ten znajduje się w przygotowywanym przez PIW wyborze. Szkic ten przypominamy, ponieważ jest on znakomitą lekcją i dla dzisiejszych pisarzy „wyjeżdżających w teren”. Nałkowski pisał go w 1903 roku. Są to „wrazenia” „małkowca-geografa”, który daje krajoznanie „Kielecczyzny” językiem na wskroś literackim; ale i ideologicznie, który widzi i „krajoznanie społeczne” tej zapóźnionej części naszego kraju i walczy o jego zmianę, akcentując całą jego uciążliwość gospodarczą i kulturalną. Szkicem swoim Nałkowski atakuje całą nadbudowę feudalno-kapitalistyczną ówczesnych czasów. Druwi z nieuważa „szanownych” i „sympatycznych” uczonych na służbie burżuazji, celnie ośmiesza „falszujących proroków” w stylu W. Lutostawskiego, potrafi dojrzeć prowincję we wszystkich tych elementach, w których daje ona obraz feudalno-kapitalistycznego zapóźnienia. Jest to zagadnienie niesłychanie ważne i dla naszych pisarzy. Jak patrzeć na „prowincję”?

W rozprawie prof. Żółkiewskiego czytelnik znajdzie dokładną analizę „osiągnięć i błędów radykalnej inteligencji polskiej w progu XX w.”. Autor rozprawy mówi: „Lecz trzeba pamiętać, że drogi tego labiryntu inteligencji polskiej prowadziły w różne strony. Nie wystarczyło błądzić w nim żarliwie, aby zastąpić sobie na dobrą pamięć. Poprzez ten labirynt Brzozowski trafił na brzeg faszyzmu, który przepaści. Otóż ważne jest, że Nałkowski przeczuwał, stanął u wylotu słusznej drogi, gdy zatrzymała go ręka śmierci...”

Ewolucja jego twórczości prowadzi od pozycji całkowicie burżuazyjnych, od prób nieświadomej ugody z zamaskowaną reakcją, ku coraz konsekwentniejszemu stanowiskom, ku coraz częstszemu akceptowaniu socjalistycznych, ku coraz wyraźniejszemu akceptowaniu rewolucji. A wiemy dobrze, że i Żeromski nie jest tu wyjątkiem, jak niechętni rewolucji byli ideolodzy polskiej inteligencji radykalnej na progu XX wieku.

Kierunek ewolucji twórczości Nałkowskiego to jego najlepszy tytuł do sławy.

To był wspaniały „wściekły jako człowiek” wrog zły tradycji i konserwatyzmu, zastój, wyzysku”.

„Wiś” pragnie swoim czytelnikom takiego właśnie Nałkowskiego w przytoczonych fragmentach pokazać. Nie tylko dla złożenia holda postępowemu pisarzowi, który obalał ludomanię mity ale i dla nauki — dla polecania pisarza walczącego i umiającego w tej walce władać świetnie literackim piórem.

Widocznie uczono, gdy chce się walczyć o lepsze ludzkie życie, nie hamuje pióra, odwrótnie, przekazywać mu przeczucie, nie odbiera mu lekkości, ciętości i celności. Tylko trzeba wiedzieć, o co się walczy, no i trzeba chcieć walczyć na jakimkolwiek odłuku kultury by się pracowało.

Szczegółową analizę pismytyki Nałkowskiego i rozprawy prof. Żółkiewskiego podamy z chwilą udrania się książki.

L. S.

Wacław Nałkowski

Ucieczka na „łono natury”

REKOMENDACJA.

Na wycieczkę, którą tu opisać zamierzam, nie wybrałem się bynajmniej dla naukowych badań, przeciwnie — chciałem choć na dni kilka naciąć wszelkie nici wiążące mnie z nauką, myśleniem, otoczeniem, w ogóle z dotychczasowym życiem, wybrać się w podróż dla odpoczynku. Dla kogo życie jest ciągłym odpoczynkiem, dla tego podróże są czasami szkołą łamania się z przeciwnościami, stawianiem czoła niebezpieczeństwom, hartowaniem woli; dla kogo zaś życie samo jest właśnie tego rodzaju szkołą, dla tego podróże, choćby związana z wielkimi niewygodami, jest odpoczynkiem.

Nie mam więc bynajmniej zamiaru w tych „wrazeniach i refleksjach” przedstawić badań naukowych, a to tym bardziej że — jak głosi ks. Dębicki — „nauka zbankrutowała”;



Jarmark

towała”; i ma w tym zupełną rację; naturalnie — analfabeci, idioci, karierowicze, hipokryci i rozmaite twory, dla których ciemność jest warunkiem zerowania, nie chcą nabywać wiedzy podpisanych przez naukę, co najwyżej tolerowaną być może tylko „nasza” nauka, której głównym zadaniem jest „okazywanie od plewu”, to znaczy od idei, od tego, co właśnie stanowi istotę nauki co może wprowadzić do mózgu jakiś promyk światła. U nas w nauce chodzi przede wszystkim o „ziarno”, tj. np. o odkrycie, że ogon jednego zwierzęcia jest o 15 mm dłuższy od drugiego itp.

Nie mam także w tym opisie zamiaru dydaktycznego — nie chce bynajmniej pouczyć, jak należy z wiedzą, a to w tym również wyprzedził mnie i zastąpił reporterzy, i to z wyborem skutkiem; teraz już wszyscy wiemy, jak należy zwiędzać stromy odcinek „starego węgryna” z proboszczem, „zieleniaczką” ze szlachcikiem, zjeść suty obiad lub kolację ze szpanem u hrabiego, wysłuchać mszy św. w jakiejś parafii, wreszcie zająć do jakiegoś elementarza historycznego i wypisać z niego nieco dat o miejscowościach w ten sposób zwiędzanych. Metoda ta, tradycyjna u nas, wydała światu rezultaty: kraj nasz jest prawie tak dobrze znany jak Afryka środkowa — przed kilkudziesięciu laty; metoda ta ma między innymi i tę dobrą stronę, że przy pewnym sprycie uwalnia nawet autora od wyjazdu z Warszawy; proboszcza, szlachcica, hrabiego można znaleźć na miejscu; węgryna, zieleniaczkę, szpana, dobrą kolację podadzą i u nas gdzieś na łonie natury w „Kraczkach” albo jeszcze lepiej w gabinetach „famiłijnych”, poświęconych przez znanego księdzę specjalistę; a nawet co do wyboru wina można się poradzić specjalisty chemika (jednakże uczeni są na coś potrzebni, nauka nie całkiem jeszcze zbankrutowała!).

Nie mam więc, jak powiedziałem, powiększyć ambicji; jeżeli gdzieś napiję się czegoś, to mleka w chłopskiej chatale albo co najwyżej piwa w jakim prowincjonalnym zakładzie; raz spotkałem się wprawdzie z jakimś szlachcikiem, ale ten nie zafundował mi nawet kieliszka wódki, jakkolwiek chcąc sobie w jego oczach nadać znaczenia, udawałem literata z kuriera. Jeżeli zaś wtrąca jakąś kwestię naukową, to bardzo skromną, a przeciwnie trudno mi tak od razu odwyknąć od bakalarskiego nałogu. Kto dzieciństwo „sielskie, anielskie” od drugiej klasy włącznie strawił na korepetytorstwie, kto przez całą młodość „górną i chmurną” jako tak zwany „profesor” dowodził przynajmniej po sześć godzin na dobę, że ziemia jest okrągła, choć jej tego zabronił szanowny Kosmas Indykopleust — i że antypodi nie chodzą na głowach, choć im tak pod utratą zbawienia przekazywał św. Augustyn, Laktancjus i inne filary Kościoła.

Dojeżdżamy do Zagnańska, dalej przejeżdżamy przezok z warstwą na barwie czerwonej, właściwie tutejszemu trawosowi, Spuszczamy się w brudne kieleckie, przed nami zarysowuje się nowy, lesisty łańcuch gór z Karczówką. Na jego ciemnozielonym tle malowniczo odrzyna się białoczerwona grupa domów — Kielec.

Linie dróg po części białe, po części czerwone oraz kominy pieca kamiennego, cegielni i huty szklanej, wskazują na urozmaicenie geologiczne i uwarunkowany nim przemysł. Kielec są miastem ładnym, czystym

i zdrowym; spadki ulic znaczne, woda w rynsztokach płynie białym potokiem do rzeki Silnicy (systemat Nidy), wąskie lece bystre, płynące śród łąk, na nich pośród miasta ludzie koszą i grabią siano, co czyni przyjemne wrażenie.

Kielec są jednak miastem martwym. Sklepów bardzo tu niewiele, na ulicach żadnego prawie ruchu. Jest to właściwie nie miasto, lecz kompleks willi śród ogrodów. Wille te chyba w jakiejś trzeciej należą do adwokatów, którzy tu są „domatorami” par excellence, gdyż ze wszystkich cnót domowych posiadają najważniejszą, tj. same domy.

II.

Przenocowawszy w Kielecach, wyszedłem rano ulicą Bodzentyńską na szosę, która prowadzi ku północno-wschodowi przez brudne kieleckie, ujętą na północy i południu dwoma

rzą małe kaskady, na pastwiskach chodzi bydło, a także owce i gęsi; zbliżam się do wsi. Zapytuję czerwoną ubraną pastuszkę, co to za wieś — odpowiadają: Krajno. „Jak to — powiadam zdziwiony — tam Krajno i tu Krajno?!” Odpowiadają mi mowa bogów: „Ajno”. Tak więc po tej stronie gór są dwa Krajna (i tyleż po drugiej).

Pytam w kilku chałupach o mleko, nadaremnie; twierdzą, że nie ma. Jak to — powiadam — tyle krów chodzi po pastwisku, a nie macie mleka? Toteż odpowiadają, że „po pastwisku, tam chodzą też owce i gęsi, trawa wypalona, krowy nie mają co jeść”. Czeszę prawdy jest w tym bez wątpienia, lecz część przypisać też należy niechęci do obcego, którego — jak się później dowiedziałem — posiadają o zaczarowanie mleka! W jednej chałupie udało mi się wreszcie mleka dostać, lecz i tu kobieta, kołysząc dziecko, poddała mi mleko z pewną mrukliwą niechęcią; tym więcej byłem zdziwiony, gdy później trzeba było użyć perswazji, by przyleciała zapłacić. Przy tej sposobności stała się rozmowniejsza i dowiedzialem się o przyczynie jej niechęci, a raczej apatii: przed paru tygodniami jej ukochane, trzyletnie dziecko utopiło się w studni, której ocmobrowanie jest zbyt niskie. Wydobytoby je wkrótce, ale nikt nie umiał ratować.

Teraz pociągają ją do odpowiedzialności, że kołysząc jedno dziecko, nie mogła dopilnować drugiego, które trudno było trzymać wciąż w dusznej izbie.

Ale wracam do wątku podróży. Rano pusiłem się w drogę dla obejrzenia źródła św. Franciszka, bijącego ze zbocza św. Katarzyny, oraz kaplicy tego świętego. W ogóle u stóp i na zboczach św. Katarzyny jest wiele źródeł i kaplic, z których każda ma jakieś specjalne užitelną przeznaczenie; jedna stoi nad źródłem uzdrawiającym, pod drugą składają wosy chorzy na kołtun itp.

Znalazłem wreszcie właściwą drogę, doszedłem do źródła św. Franciszka. Stoi tu kaplica drewniana z kamienną posadzką; u ołtarza posąg św. Franciszka, obok inne posągi; przed nimi kwiaty sztuczne wetknięte w dwie — butelki, z etykietą: „Kreuzbrunn Marienbader prämiert mit dem Ehrenmedail des k. k. Handelsministeriums”. To zapewne argument „premiowany”, świadczący o cudowności leczniczej św. Franciszka. Źródło przedstawia kotłownię w kształcie stożka eliptycznego obłożonego schodowatą glazurą, z kotłowni tej wypływa potok, do którego obrymnie jodły i cisza wspaniała letniego poranka — tylko plusk potoku.

W pobliżu wsi Jeziorko, już na podnóżu Łysogór, niedaleko góry Świętokrzyskiej, pojawiają się piaski i gliny z glazurą erraticznymi skandynawskimi, a dalej znów less, który mi towarzyszył aż do Sandomierza.

Na polu spotkałem kobietę rwącą chwast; była ona widocznie mniej biegła w sprawach czarownictwa, gdyż bez obawy obiegała mi mleka, gdy skończyła robotę; ucieśliłem się tym szczególnym dowodem zaufania i korzystając z czasu, postanowiłem się wykąpać w rwącym potoku jeziorkowskim, jakkolwiek było to, jak się zdaje, wbrew tutejszym zwyczajom: chłopcy zapatrzą się tu na kąpielącego bądź z politowaniem jak na narwana, bądź z pewną zaboobona twogą, podobnie jak mieszkańcy Nowej Gwiny, którzy według pewnego niemieckiego podróżnika, unikają wody sadząc, że „der Teufel säesse drinnen”. Namawiałem nieraz brudnego pastucha pasącego bydło nad rzeką, aby się wykąpał, ale gdzie tam, nie dał się namówić — nie głupi! Sądzę, że ludzie nie tylko się tu nie kąpią, ale nie używają nawet „półkąpielki”. Na tej podstawie należałoby metodę Kneippa nie-

mi. Chodziłem po tej drodze do późnego wieczoru, bo najlepszym odpoczynkiem po pieszej podróży jest — znów przechadzka, spokojna, bez pośpiechu i celu. Po jednej stronie tej drogi ciągną się wąskie smugi pól porożdzianych miedziami, zniżających się ku rzecze jeziorkowskiej, skąd rozlega się rechot żab; po drugiej — pola podnoszą się ku lesistym grzbiutom Łysogór, gdzie najwyżej wznosi się klasztor świętokrzyski. Dokoła cisza, prawie cała wieś usłpiona; tylko w jednej chacie błyska światło w małym okienku — to moja gospodyni, Wikta, „krząta się koło wieczery”, spóźnionej z powodu mitręgi we młynie. Nad tym wszystkim księżyc rozlewa swe łagodne światło — to atmosfera w której mogą znaleźć ukojenie wszystkie „dusze znużone”.

Zachodząc do chaty moich gospodarzy przyjrzałem się życiu tutejszej kobiety. Moja gospodyni jeziorkowska, Wikta, była doskonałym typem młodej wieśniaczki: silna, wysmukła, prosta jak jodła Gór Świętokrzyskich, pracująca bez przerwy, bez pamięci o sobie, bez świadomości swej ofiary; cały dzień jest w ciągłym ruchu: małe dziecko krzyczy w kołysce zawieszona u pułapu na sznurach, kot, wyprawiający harce na nich, kołysze dziecko; w końcu pod ścianą kury skarżą się i rozprawiają, jak by się uwolnić z zamknięcia bez złożenia jaja w ofierze, Wikta skończywszy klasyfikację kur bierze wreszcie dziecko na rękę i zaczyna je karmić; tymczasem drugie, starsze, lecz słabe, czepia się jej nogi, w ogóle przychodzi do niej z każdą biedą: bolakiem, drzazgą, zapraniem przez kota itd. Lecz na kominię gotuje się obiad, war kłpi; kobieta kładzie przedko dziecko na ziemi i chwytając garnek nie zważając na taką drobność, że war parzy jej ręce. Gdy jedno dziecko zaśnie na chwilę, a drugie się uspokoi lub wypęźnie do sieni, kobieta bierze się poparzoną ręką do szyi kosi, szuli z płótna, które sama z lnu wmiędlila, wyczesala, uprzedła, utkala. Całe ubranie na niej z wełny („serce”) jest też jej ręką zrobione. Naturalnie, że obok tych zajęć pracownicy fabrycznej nie może zaniedbać go-



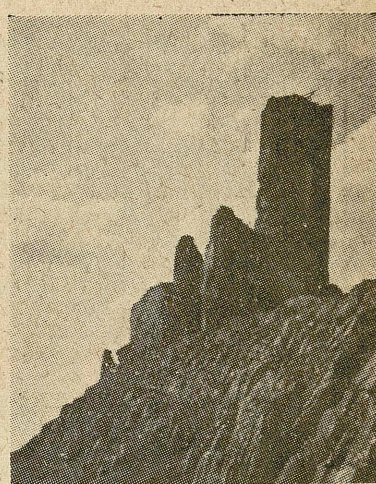
Bukowa góra.

spodarki: zbiera chwast dla krów, do jej, robi sery, pasie wieprza, dla którego gotuje w wielkich garach i tużce kartofle, uprawia i pielęgnuje ogród warzywny, a nawet pod oknem zasadza nieco kwiatów. Ruskin zachwycałby się pewnie tą sielanką, ja także, choć w inny nieco sposób: patrzyłem z podziwem na ten wielki zapas energii, lecz zarazem z żalem, że rozprasza się, zużywa tak marnie; coż energia ta zdołała by mogła, gdyby była skierowana właściwie! Estetyk, wielki pan lubujący się w sielankach — niech im się przegłąda w teatrze, ale niech nie stara się utrzymywać ich gwałtem w życiu kosztem rzeczywistych aktorów, których sądzi, że uczęszaliwa; przypomniał się tu ów zblazowany magnat-esteta z jakiejś powieści, który ożenił się z naiwną dziewczyną tylko dlatego, by nabyć w niej piękny mebel stylowy zdobiony jego zamkiem; kazał on jej, odpowiednio ubraną, siedzieć w starych komnatach przy kołowrotku i z rozkoszą znawcy zachwycał się całymimi godzinami tym widowiskiem.

Z dwójga złego lepsza jest już praca fabryczna: daje ona przynajmniej jakieś chwile wytchnienia, ciągnie się tylko do pewnej godziny; tutaj wypelnia wszystkich czas, wszystkie myśli, całe życie — nie dając nic w zamię. A panowie-estetycy, panowie-gospodarze, panowie-księża dźwiga się i oburzają, że lud tak mało ceni sielankę, dworek, kościółek i ucieka do miast, fabryk, ba! nawet do bezbożnej Ameryki. Patrząc na te wielkie zapasy sił uwięzionych obecnie w sielankach ruskinowskich, myślałem sobie, jakie rezultaty będą one mogły przynieść kiedyś, gdy zostaną wyzwolone z tej kołowrotkowej sielanki przy pomocy tych prozaicznych maszyn, które z czasem zaczną przeciw pracować dla całej ludzkości.

Jeziorko — to typowa wieś polska; chaty kryte słomą (żywny less) ciągną się długim szeregiem po obu stronach drogi wysadzonej wierzbami. Chodziłem po tej drodze do późnego wieczoru, bo najlepszym odpoczynkiem po pieszej podróży jest — znów przechadzka, spokojna, bez pośpiechu i celu. Po jednej stronie tej drogi ciągną się wąskie smugi pól porożdzianych miedziami, zniżających się ku rzecze jeziorkowskiej, skąd rozlega się rechot żab; po drugiej — pola podnoszą się ku lesistym grzbiutom Łysogór, gdzie najwyżej wznosi się klasztor świętokrzyski. Dokoła cisza, prawie cała wieś usłpiona; tylko w jednej chacie błyska światło w małym okienku — to moja gospodyni, Wikta, „krząta się koło wieczery”, spóźnionej z powodu mitręgi we młynie. Nad tym wszystkim księżyc rozlewa swe łagodne światło — to atmosfera w której mogą znaleźć ukojenie wszystkie „dusze znużone”.

Rano zwiędziłem pobliską Górę Witosławską, która, po pewnej przerwie, stanowi przedłużenie grzbietu świętokrzyskiego, przesunięta nieco



Ruiny zamku checińskiego.

ku południowi. Góra Witosławska jest również złożona z kwarcytów i równie porośnięta lasem jodłowym. Bliższe szczytu wznosi się tu kościółek drewniany, a w nim znajduje się puszka z napisem: „Ofiara na światło do św. Józefa” (sic!). Za kościołem źródło, naturalnie uzdrawiające, z figurą kamienną Matki Boskiej. Niedaleko w domku leśniczego mieszka stara pustelnica. Zapytana, czy jej nie smutno, gdy w zimie śniegi zasypiają górę, odpowiedziała, że jej „bardziej wesoło niż największemu monarsze”. Odpowiedź ta byłaby wielce sympatyczna, gdyby nie była wygłoszona z emfazą i widoczną chęcią zrobienia efektu, zawstydenia mnie, światowca pływającego się po uszy w uciechach ziemskich, aby po śmierci pławić się równie głęboko we wrzące smole.

Ponieważ musiałem już za parę dni być w Warszawie, więc dalszą podróż odbyłem końmi do Opatowa (dwie mile), a stamtąd do Sandomierza (cztery mile).

Droga do Opatowa prowadzi przez błogosławioną krainę lessu albo „popielatki”, o powierzchni tylko lekko sfalowanej. Góry po prawej stronie (dalszy ciąg Witosławskiej) zniżają się, lecz ciągle jeszcze pod Opatów; z lewej — równina bez końca, nad którą na skraj horyzontu wznoszą się dymy fabryczne Klimkiewiczowa („Klimkiewicz”). Pola pokryte bujną pszenicą, burakami cukrowymi, bobikiem, wyką, koniczyną; wód mało, na wyniosłościach stoją wiatrak. Żyzność ziemi odbija się w barwach krajoznanu: brak tu mianowicie żółtej barwy lubinu oraz białej — tataraki. Dachy chat są już wszędzie kryte słomą, która tu rośnie bujnie,



Bukowa góra.

podczas gdy drzewo jest rzadsze niż w Świętokrzyskim.

Jedziemy wciąż szosą bez końca, wśród równiny niezmiernie faliującej lekko łanami zboża, niebo bez chmurki, upał prawdziwie stepowy i tutaj jak w stepowej ojczyźnie księżyc Jarosławny „słofce trzykróć promienne i ciepłe rzuca żar nieczuły”.

Szosa mijają nas liczne brzeczki i powoziki szlachuckie zaprzężone w „dziarskie” konie; w powozkach siedzą eleganckie damy i panowie o minach „gestych”; tu i ówdzie sterczy wśród nich prosty jak świeca, wywieziony kleryk z sandomierskiego seminarium; to przyszość; — „die Jugend klopf!”... Wszyscy są w pudermantlach, jak przystało na krainę lessową; przejeżdżając przedko, karzą mnę tumanami pyłu; skrecają na bok od szosy, dając do kościółów (była niedziela); i słusznie — mają za co Bogu dziękować: urodzaje wspaniałe; ziemia tutejsza wydaje bujny plon, używana — potem ludzkim.

Wieśniaczki, które spotykamy po drodze, nie mają już, jak w Świętokrzyskim, zapasek własnego wyrobu, albowiem w tej żywniej krainie nie ma nieużytków, a więc i pastwisk dla owiec; miejsce zapasek zastępują kupne kaftany niebieskiej barwy i także po większej części spódnice; zresztą te ostatnie bywają też czasami buraczkowe, kraciaste itp.

Miedzy Górami Pieprzowymi i Witosławką, która, po pewnej przerwie, stanowi przedłużenie grzbietu świętokrzyskiego, przesunięta nieco

(dokończenie na str. 4)

Ucieczka na „łono natury“

(Dokończenie ze str. 3)

Tutejsze mieszkania lessowe mają ścianę frontową drewnianą; mówię mieszkańcom ich, tym na wół troglodytów, że w pewnym kraju, w Chinach, ludzie budują sobie całe miasta w takiej glinie i nawet ściany frontowe są tam z tego samego materiału. Jeden z mieszkańców Kamienia Plebańskiego oświadczył mi, że jego chata miała z początku front z gliny, ale mu się to wydało jakoś „do niczego“, t.j. nie podobało mu się; zwał więc ścianę z lessu i zrobił drewnianą jakkolwiek ona bardziej wciąga wilgoć niż lessowa. Jak na przejęciu z ustroju hordowego do rodzinnego dzweczyna, wychodząca za mąż musiała się wpiąć oddać innemu, aby uczynić zadość świętej tradycji (bo — jak rozumuje Polaniecki — „tak robiła jej matka, babka“ itd.) tak tutaj, na przejęciu od mieszkań drewnianych do lessowych (wskutek droższości drzewa), ludzie zachowywać będą czas jakiś przynajmniej frontowe ściany z drzewa, bo tak budowali ich ojcowie, dziady itd., więc oni byliby „kpmi“, gdyby chcieli budować inaczej. Ale z czasem gdy drzewo jeszcze bardziej zdrożeje, a ludzie bardziej zmadrzeją to przekonają się, że właśnie „trzeba być kpmi“, aby trzymać się starego zwyczaju, gdy warunkujące go okoliczności już istnieć przestały. Wieczorem po wycieczkach zamieszkałych ludzi do odpoczynku przejechać się znowa bez celu po ulicach miasta — w czasie takich przejazdów samotnych po obcym mieście doznaje się podwójnego uczucia: naprzód odczuwamy zadowolenie, że indywidualność nasza nie jest krepowana żadną inną, że myślimy i poruszamy się zupełnie swobodnie, następnie jednak opanowywa nas przykre uczucie obcości, jakbyśmy byli cudzoziemcami w kraju obcym lub nawet jakbyśmy spadli tu z innej planety albo też zostali przeniesieni do jakiejś tajemniczej krainy z ubiegłej geologicznej przeszłości, wśród obce zupełnie nam twory.

Podczas takiej przechadzki spotkałem w jakimś zaułku nad Wisłą dziwnego starowina, obzarpanego, w kapeluszu zgniecionym, z rondami opuszczonymi; miał rękę obwiązaną szmatką. Myślałem, że to dziad, pytam go, co mu w rękę, zaczął odpowiadać półświatkami, robiąc miny i gesta tajemnicze; wreszcie wyznał, że został ranny w bitwie, gdy napadło nań kilkunastu zbrojnych. Zdziwilem się, z jakiego powodu aż kilkunastu ludzi napadło na biednego dziada, a jeszcze większe było moje zdziwienie, gdy mi tajemniczo wyznał, że to szło o kobietę: „Chcieli mi odbić kochankę“. Ale miłość zwyciężyła: „Kochanka broniła się butelką, a ja nożem; bo ja proszę pana — dodał — jestem kripodlarz, wybrałem kripodla dla księży, więc zawsze mam noż przy sobie do strugania“. No, jeżeli to wszystko prawda, to zaiste dzielny staruszek — niech żyją kripodlarze! Zresztą, dlaczego nie wierzyć? Ziemia, co ma tyle źródeł z wodą cudowną, musi mieć także dzielnych kripodlarzy (zarówno jak za zamierzchłych wieków) — wszystko jest nieprzerwanym łańcuchem przyczyn i skutków.

We wstępie do mej podróży przeprosiłem nieprzyjaciół nauki za to, że tu i ówdzie wplotłem w mój opis kwestie naukowe, obecnie muszę z drugiej strony, przeprosić niektórych naszych uczonych, którzy starannie oddzielają „plewy od ziarna“, i w ogóle wszystkich ludzi „poważnych“, „solidnych“ którzy nie lubią bezmyślnych psich figliów. A jestem do tego tym bardziej zmuszony, że jeden taki poważny i solidny pan jakiś „w głowie wąski“ wystosował do mnie z powodu mej podróży szalony list prywatny, w którym wyraził swe niezadowolenie i raczył udzielić nauki, jak należy pisać podróże. Ja — pisze mi ten pan — nie mam, panie dobrodzieju, czasu czytać gupstw, choć od piśma rzeczy poważnych, pożytecznych, a pan zapełniał kolumny „Głosu“, „Lamajkami kurierkowymi“ i napadał na ludzi poważnych; przy tym miesza pan rozmaite rzeczy na raz, zamiast, panie dobrodzieju, każdą traktować oddzielnie, pod osobną rubryką; wszak gdy w sklepie kupuje towary, to zawiązuje mi osobno tabakę, osobno pieprz itd., bo inaczej łatwo się przecie człowiek może omylić i zamiast miłej tabaki wpakować do nosa pieprz.

List ten wywarł na mnie głębokie wrażenie: coś to za subtelne wnikięcie w duszę autora, co za presencja d'esprit, o jakiej już wspominałem, w początku mej podróży; jakie zrozumienie stosunków społecznych, co za znanstwo literatury podróżniczej od Humbolta i Richthofena — z jednej, aż do Heinkego i Słowackiego — z drugiej strony!

Tak, tak postaram się na przyszłość o poprawę. A jednak zdarza się czasem, iż rzecz żartobliwa z pozoru przetrwa rzeczy poważne: oto np. rzeczy poważne Erazma Rotterdamskiego mniej obecnie mają wartości niż jego Pochwała głupoty, napisana dla rozrywkę w podróży; ta rzecz żartobliwa zachowała dotąd swą wartość i zastosowanie. Bo też dotąd, jak za czasów Erazma, głupota ludzka prosperuje. Co najwyżej, do dzieła tego można by zrobić mały dodatek; dodać jedną więcej pochwałę, a raczej wyraz wdzięczności: głupota tak zwanych bliźnich jest jedynym jasnym promieniem, który choć przelotnie, rozświeca smutek głęboki trawiający człowieka dzisiejszego; tylko głupocie tej zawdzięcza on, że chwilami śmiech serdeczny rozchyla jego zacięnięte usta. **Wacław Nalkowski**

Leszek Goliński

Nim zapiały koguty

Zamiast wstępu od redakcji... fragment z listu St. Gębali.

„Mam jeszcze jedną prośbę. Zwróćcie uwagę na sztukę „Pieją koguty“ i o ile jest w przekładzie polskim napiszcie, które wydawnictwo ją wydało?“

Nasi murarze ze Skowierzyna, którzy budują Warszawę i są tam w większości przodownikami pracy, opowiadali mi jej treść. Podobno świetnie zamaskowane kulakowskie przedwojenne... takie litewskie, jak polskie. My często w walce na wsiach rachujemy się z kulakami tylko o dziś, a o Wczoraj — ZAPOMINAMY. U nas np. nad Sanem, k. Tarnobrzega, gdzie z kilku wsi wyszły całe brygady murarzy i sporo zdolnych ludzi na robotę polityczną do kraju, kulacy gotowi teraz przepłacać najemnika, bo tak go tu brak. A że brak i powstają spółdzielnie, kulak, przeplacając, w ten sposób walczy politycznie: oto korzysta z pracy w prywatnych właścicieli — wolna konkurencja, ergo kapitalizm — niech żyje!

„Pieją koguty“ należy polecić wszystkim zespołom świetlicowym i grać tę sztukę nie tylko w prawdziwym teatrze, ale w każdej wsi. Chcą jej bardzo tu na mojej wsi i przysłała by się. Interesuje mnie także osobieście z tego względu, że nie znalazł jej naszkicowałem sztukę p. t. „W przeddzień“, a teraz widzę podobieństwo obu sztuk.

Skowierzyn n. Sanem

Zasylam pozdrowienia

STEFAN GEBALA

„Pieją koguty“ Józefa Bałtusza — to obraz przedwojennej wsi litewskiej. To obraz wsi kapitalistycznej, gdzie wrze w całej pełni walka klasowa, gdzie wyraźnie zaznaczają się granice klas, gdzie chłopstwo ulega jaskrawemu rozwarstwieniu. Oto pierwsza zasługa autora i niezaprzeczony walor sztuki: klasowe rozwarstwienie, przeprowadzone nie w sposób deklaracyjny, ale w pełni sugestywny, oszczędny, a jednak dostatecznie wyraźny.

„Pieją koguty“ Józefa Bałtusza — to obraz kapitalizmu na wsi. Kapitalizmu, który w tym zacofanym gospodarstwie zakątku Europy nie wyżył się jeszcze pewnych pozytywnych cech, nie uległ jeszcze wyzrodnieniu, ale który nosi już w sobie wszystkie elementy zwyrodnienia, reakcjonizmu, wszystkie elementy narastającego kapitału finansowego. Przecież Powiślas, narzeczony, później mąż bogaczki Oniśki, sam syn kulaka — ten Powiślas mówi o nawozach sztucznych, o czytaniu gazet, o tym, że jego ojciec — słuchajcie! — jest członkiem komitetu budowy szkoły wiejskiej, że w tej sprawie jeździ do miasta, że w gazetach o nim piszą. Ten Powiślas nie mówi już przy wejściu do izby „niech będzie pochwalony“, ale krótko: „dzieńdobry“. Pali kupowany tytoni miejski, jest ukladny, wykształcony, łączy w sobie chytrych i zachłanność wiejskiego kapitalisty — kulaka z manierami światowca. Powiślas jest uosobieniem kapitalistycznej kultury, to mały obrazek zwycięskiego kapitalizmu, który dotarł aż do zapadłej wsi na Litwie Północnej. Powiślasowi wierzą w to, co mówi: że wszystko, co czynią, czynią dla dobra ojczyzny i bliźnich. Znamy takich Powiślasów.

„Pieją koguty“ Józefa Bałtusza — to sztuka o budzeniu się świadomości klasowej wśród biedoty chłopskiej. To budzenie się, które pozwala nam domyślać się o opanowaniu kurtyny dalszego ciągu tej walki: początków organizacji ruchu, wykorzystania buntu biedoty, jako elementu rewolucyjnego przy reorganizacji oblicza wsi litewskiej.

Ciekła i długa jest droga do poznania tej świadomości, do odkrycia jej roli. Kulacy we wsi Bałtusza stoją w rozwoju umysłowym niezmierzające wyżej od biedoty. I nie tylko we wsi Bałtusza. Kulacy, znając nowe formy gospodarki, stosując stoisne formy spółdzielczości — takie, które forsują agraryzm. Kulacy, chociażby tacy, jak Jonas, syn Rukienia, świadomi są już swej siły i znaczenia. Kulacy starej daty, tacy, jak Rukienie, którzy krzywdzą ludzi i z różnieniem w rękę i pacierzem na ustach — znają dobrze potęgę pieniądza, opanowali już całkowicie arkaną wyższu klasowego. Działają, jako jednolita klasa, umiejscą dążyć do celu — chociażby po trupach.

Inaczej biedota wiejska. Przedstawicielem jej jest Łabutis. Zabijają mu syna, zagrabiają ziemię, oddają go nieomal w pańszczyznę, choć pańszczyzna zniesiona została pół wieku temu. Pozostawiono mu pozory wolności osobistej: może się procesować z mordercami swego dziecka, choć przekupny

sąd i świadkowie — krzywoprzysięcy i tak skazują go na przegraną. Miał swoje pole, sad, krowę, ale mnożą się weksle i każdy przednówek jest wyrokiem śmierci, wiążąc go nieustannie z nowym obciążeniem — kulakiem. Jest wolnym obywatelem — a jakże, wolnym w tym sensie, że wolno mu zostać wygnanym z chaty, wolno mu oddać wszystko i dać się skazać na śmierć głodową. Łabutis — mał nie pada ofiarą intrygi i swojej łatwowierności. Jedynym gestem rozpacz i buntu jest chwilowy wybuch w herbaciarni, kiedy ze sztabą żelazną rzuca się na swoich prześladowców. To wszystko.

Albo komornica Anielukie. Całą nędzę swego zbrocznego bytu pokrywa uśmiechem i żartem. List syna z fabryki buduje jej miraż nowego, lepszego świata, choć z początku jedynym wyzawieniem wydaje się jej życie pozagrobowe, o którym mówi ksiądz, albo dolarzy z Ameryki, o których szepcze Jonas.

Nie wahałbym się zaryzykować, umieszczając żonę Jonasa — Marytę — raczej wśród średniaków. Ale Marytę na początku raczej obcy są Anielukie i Łabutis, choć im współczuje. Dopiero, gdy poznaje cały bezmiar podłości, łotrstwa i zbrodni rodziny kulackiej, do której weszła, otwierają się jej szeroko oczy. Na scenie, w trakcie trzech końcowych aktów sztuki montuje się sojusznik średniaka z biedotą wiejską. Tworzą wspólny front, wspólnie zdobywają świadomość klasową.

Oto są trzy podstawowe elementy dramatu Bałtusza, nadające mu wysoką rangę ideologiczną.

Bałtusis nie jest wolny od pewnych niedomówień: można by mu zarzucić, że za słabo zaakcentowana jest w epilogu sztuki wizja lepszej przyszłości, że dramat jego nosi pewne niedociągłości logiczne, gdyż trudno sobie wyobrazić, aby kulacy tak szybko zrezygnowali z walki, którą toczą przez trzy pierwsze akty z uporem i planowo. Wiemy z historii i praktyki, że walka z kulakami nie kończy się łatwym zwycięstwem. A zwycięstwo biedoty w sztuce Bałtusza kończy się paru ogólnikowymi zdaniem i peregrynacją w nieokreślonym „świecie“.

Można zarzucić Bałtusisowi, że wieś swoją jakby wyodrębnił, że nie skorzystał z łatwych okazji przedstawienia sojuszu robotniczo-chłopskiego, tak naturalnego i nieodzownego w chwili, gdy rozgrywa się akcja sztuki. Są to przecie lata międzywojenne.

Sztuka Bałtusza daje konkretny wycinek z życia konkretnej wsi litewskiej, ale łatwo można ją zaadaptować na jakimkolwiek gruncie, wiejską kobietą — bogaczką, która potrafi płakać, modlić się, kłąć i zabijać nawet — dla pieniędzy.

Józef Bałtusis (prawdziwe nazwisko Albert Juozenas) jest synem robotnika kolejowego. Realizm jego pierwszej zresztą sztuki scenicznej wynika z dokładnego poznania wsi: świadomości klasowa Bałtusza rodziła się w sposób podobny, jak u jego bohaterów. Przez dziesięć lat pracuje Bałtusis jako parobek u bogacza wiejskiego: kto wie, czy razi, spadające na biednego Antanukasa nie odczuł boleśnie sam autor w swojej smutnej młodości?

Mając lat dwadzieścia, przenosi się Bałtusis do miasta, do Kowna, gdzie pracuje jako woźny w biurze, a jednocześnie uczy się. W kilka lat później próbuje zawodu inżyniera. W roku 1933 debiutuje nowelą „Czerwonołistne pastwiska buraki“. Pierwszy smak sławy literackiej mać jednak gorzko upokorzeń: czujna cenzura Litwy Smetony i szaulowski młodemu pisarzowi proletariackiemu usta. Rok 1940 jest rokiem wyzwolenia Litwy: do Kowna wraca entuzjastycznie witana Armia Radziecka, grupa pisarzy „Trzeciego frontu“, literackiego, rewolucyjnego ugrupowania, które ściągając było przez policję litewską za radykalizm przekonań, staje z zapalem do pracy. W roku 1940 Bałtusis wydaje zbiór nowel „Tydzień zaczyna się dobrze“, w rok później zostaje redaktorem tygodniśnika kowieńskiego i kieruje piśmem „Młody gospodarz“.

W czasie wojny Bałtusis pracuje w Centralnym Komitecie Radia w Związku Radzieckim.

Po wojnie wraca do kraju. Jest prezesem Związku Literatów Litwy Radzieckiej, delegatem do Rady Najwyższej Litewskiej Republiki Radzieckiej. Redaguje społeczno — literacki miesięcznik „Zwycięstwo“.

„Pieją koguty“ powstały już po wojnie. Powstały, jako wspomnienie dawnych lat, wspomnienie smutnej młodości Bałtusza. Dzisiaj

Kim wczoraj był wróg?

szła Litwa i wieś litewska nie zna już nędzy Łabutisów. Sprawdziły się słowa starej komornicy Anielukie: „Jeszcze się z nimi spotkacie“. Łabutisowie wrócili na wieś litewską, aby przeobrazić jej oblicze, zlikwidować nędzę i nieludzką wyzysk. Rukienie należy już na Litwie do przeszłości.

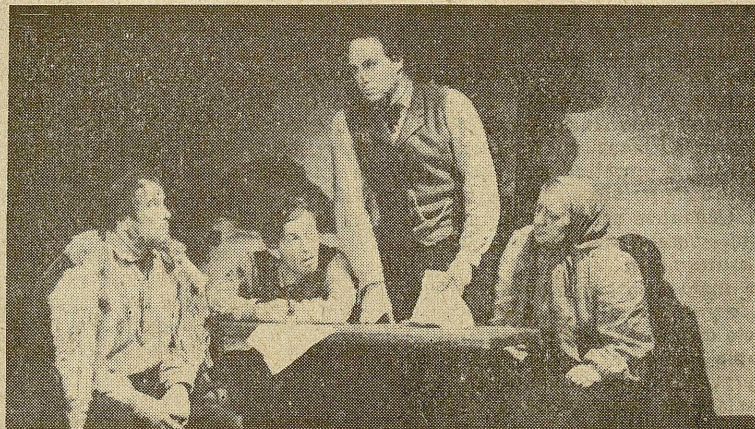
Nie należy jeszcze w całości do przeszłości w Polsce. Dla ludności miejskiej stanowi sztuka Bałtusza klucz do zrozumienia przedwojennych stosunków wiejskich i komentarz dla toczącej się obecnie na polskiej wsi ostrej walki klasowej. Jeśli polscy Łabutisowie pewni są dzisiaj zwycięstwa, to dlatego, że szybko postępuje kolektywizacja wsi, dlatego, że stoi za nimi klasa robotnicza, Partia i Rząd Ludowy. Problemu Rukienia i Powiślasa nie można jednak uważać jeszcze za rozwiązany.

Warszawski Teatr Kameralny jest trzecim teatrem w Polsce, który wystawił dramat Bałtusza, po Wrocławiu i Opolu. Porównując spektakl i inscenizację wrocławską z warszawską, należy z uznaniem wyrazić się o koncepcji reżyserskiej Bohdana Korzeniowskiego.

Warszawski Teatr Kameralny uczynił z sztuki Bałtusza trafną ideologicznie lekcję pogładową walki klasowej na wsi, wydobyl umiennie wszelkie walory dydaktyczne tej sztuki. Można jednak zaobserwować skłonność do wpadnięcia w przeciwną skrajność: wyraża się ona przede wszystkim w zatarciu momentów dramatycznych przez stosowanie chwytów kontrastowych, stojących na pograniczu groteski. Mam na myśli odwołanie roli Rukienia przez Sewerynę Bronisławową. Jej głęboko realistyczna gra, jej (nieużywane w tekście) zdrowie w czasie rozmowy z Łabutisem, kiedy uwidnia się cała chciwość, chytrych i zaboronność bogaczy — wywoływały na widowni śmiech i brawa. Ale przez to pokrywanie śmiechem dramatycznych momentów sztuki straciła szczególnie scena finałowa, gdzie Rukienie wyraźnie traci tempo. Jest to raczej błąd inscenizatorski, niż aktorski.

Inszenizacja Korzeniowskiego dążyła do słusznego wyraźnego zarysowania różnic klasowych w obu przeciwnych grupach antagonicznych. Oszczędność środków ekspresji aktorskiej, lekkie zatuszowanie momentów zbyt mocnych i tragicznych, przyczyniły się do spótygowania realizmu sztuki. We Wrocławiu Rukienie była skamieniała Niobe i Furia w jednej postaci. W Warszawie pozostała chytą, wiejską kobietą — bogaczką, która potrafi płakać, modlić się, kłąć i zabijać nawet — dla pieniędzy.

Łabutis odegrał Jacek Woszczerowicz i odegrał świetnie. Z niewielkiej stosunkowo roli potrafił wydobyc tyle siły i ekspresji, że stworzył prawdziwą kreację.



Scena z aktu IV-go „Pieją koguty“ S. Bronisławowa, (Rukienie), J. Woszczerowicz (Łabutis), J. Świdorski (Jonas), J. Bylczyski (Powiślas). Fot. C.O.P.A.

Słowa uznania należą się także pozostałym wykonawcom: Hannie Skarżance (Oniale), Janowi Świdorskiemu (Jonas), Januszowi Bylczyskiemu (Powiślas), Wilhelmowi Wichurskiemu (Blaży), Ryszardzie Hanin (Marytę), Zdzisławie Zychowskiej (Anielukie), Janinie Sokółowskiej (Nienienie), I. Wyczyńskiej i Anieli Rolandowej (Cyganki), jak również świadkom (Krotke i Dereń). Dekoracje i kostiumy Andrzeja Pronaszi dostosowane świetnie do sensu i ducha sztuki: szczęściem scenograf nie stworzył tak ponurej sceny, jak to się stało we Wrocławiu.

Przekład Anny Lau — Gniadowskiej zasługuje na pochwałę: nie traci w nim nic żywy i barwny dialog autora. Tak czyste przekłady rzadko się dzisiaj spotyka.

Wartoby zastanowić się nad możliwościami pokazania dramatu Bałtusza na wsi polskiej. Wydaje się, że jest to możliwe przez opracowanie go dla użytku wiejskich zespołów świetlicowych.

Leszek Goliński



Akt II-gi sztuki J. Bałtusza „Pieją koguty“ J. Woszczerowicz (Łabutis) Foto C. O. P. A.

Piotr Chmura

Kulak — faszysta

Trafnie powiedzieli Gębali warszawscy murarze ze Skowierzyna, że sztuka Bałtusza demaskuje kulaków przedwojennych. L. Goliński przy wielu bystrych uwagach nie domówił tej sprawy do końca i dlatego trochę pobłądził w przedstawieniu sztuki i w jej ocenie.

Stara kulaczka Rukienie i młody kulak, Powiślas to nie tylko dwa pokolenia bogaczy wiejskich. To dwa etapy historii wsi przedwojennej. Można określić ściślej czas historyczny sztuki. Gdyby ją przekładać na nasze stosunki przedwojenne — byłoby to już dawno po przewrocie majowym. Krótko mówiąc, okres postępującej faszystyzacji. Chcecie nazwisk? Obok „mitu“ Witosa rzeczycieście wówczas macher — Mikołajczyk. Kiedy w 1937 r. Sławoj-Skłodowski był pewien, że strajk chłopski spali na panewce, kłóz go upewniał? I kim był ten co upewniał? Mikołajczyk? Tyle stwierdzić, to mało. On i burżuazyjna góra Stronnictwa Ludowego? Burżuazyjna wówczas oznaczała już — faszystowska. Na takie pozycje przechodziło kulactwo, dlatego podczas wojny „kolaboracja“, gna biedotę na roboty do Niemiec, wspomaga AK i NSZ, a po wojnie bandy i rzuca się w kontrrewolucję, której hasłem jest mikołajczykowski odzyskanie Polski pod „protektorat“ anglo-amerykański, kiedy zaś rewolucja zwycięża — nasze kulactwo cofa się na pozycje „polityki zagrodowej“ z hańbą na czołe, bo to nie tylko przywódcą zdradził naród i lud.

Te perspektywy polityczne trzeba mieć na uwadze, kiedy się śledzi „imponującą“ postać młodego Powiślasa. W krajach o niedorozwiniętym, zapóźnionym kapitalizmie, jak nasz, jak Litwa, postępu technicznego i „oświecenia“ kulaka nie można oderwać od historycznych znamion okresu faszystyzacji. One określają ów rzekomy postęp i rzekome oświecenie.

L. Goliński chce widzieć jeszcze cechy pozytywne w tym kulackim kapitalizmie? Ze nawóz, że gazeta, że „opieka“ nad szkołą? Ale kiedy

starych, posługowo — odrobkowych metodach ujarzmania biedniaków, przy obrzędowej niemal obłudzie i zniechęcającym bagnie moralnym w gniewie kulackim — jeszcze mobilizuje Anieluki do ponizającego laszenia się, jeszcze pcha Łabutisa do uwiązania syna na obroży w kulackim obejściu.

Ale co się dzieje, kiedy rządy obejmuje młody Powiślas? Po 1) kapitulacji przed nim stara Rukienie. Czy dlatego, że on czyta gazety, że stosuje nawóz? Nie. Dlatego, że interes kulacki, który w jej rękach zaczynał się rozlać on potrafi poprowadzić naprzód. Ma już inne metody, ostrzejsze, bo to już jest nowy etap walki klasowej. Rukienie sekunduje Powiślasowi, uczy się, doszłusowuje. Ten młody zięć zagarnie ziemię jej syna. Rukienie zostanie przy tym, co potrafi dokonać „koncentracji kapitału“, zostanie przy „monopolu“. Tak daleko dochodzi kulackie zwyrodnienie.

Po 2) Łabutis, który słucha, jak Powiślas potrząsając weksłami, nagrawa się z niego, bo i w chacie ma zostać i krowę zachować a tylko „kiedy będzie trzeba“ popracuje z rodziną na własnym dotąd polu, a którą teraz weździe w obręb kulackiego obszaru — ten zabiedzony, zastrachony dotąd Łabutis zaczyna myśleć jasno. „To znaczy, mam zostać waszym parobkiem?“ — Nie!

W epoce Rukienie nie mówili jej — nie — ani Łabutis, ani Anielukie ani Marytę. Teraz mówią. Powiślas nie jest obłudny, jest cyniczny. Przemawia do rozsądku. Ukazuje swoim ofiarom różnicę między śmiercią a odległością od niej o włos. I wierzy, że wybiorą to drugie. Cynizm faszystowski to kształcąca szkoła. Nie tylko proletaryzacja biedoty wiejskiej, ale daje jej świadomość proletariacką. Już nie mamy do stracenia teraz i na przyszłość.

I trzeba widzieć, jak godność ludzka wstępuje na twarz Łabutisa i Anielukie, kiedy odchodzą. Przesłali się bać, bo mieli dotąd jeszcze czym się ludzić, na co liczyć za cenę choćby największych upokorzeń, poniżeń i ulegania wyższym, teraz gdy już wiedzą, że nie ma co się ludzić — przestali się bać. Trzeba widzieć sens odejścia Marytę. Jeśli to średniaczka, jak chce Goliński, to przekładając znow na nasze stosunki przedwojenne, warto przypominąć, sobie średniaków, spłukiwanych przez politykę Staniewiczków. Mogli nie raz, jak Marytę, dojrzeć ten sam stopień i tę samą formę bezwzględności w klasie, którą brali za wzór i cel życia: kurczy ona swą bazę osobową, powiększa bazę ekonomiczną. Wyzuje biedotę, zdeklasa średniaka a we własnej klasie szwagier szwagrawa złupie, tak się buduje monopol. Tak drapieżnie! To ostatecznie odepchnęło Marytę od gniazda kulackiego, to przybliżyło ją do biedoty.

Grozę położenia mało- i średniolnych zmierzyla, zdzierając maskę z faszystowskiego kulactwa. Planowane na zimno rozbójnictwo kapitalistyczne jakże bezwzględnie będzie ścinać Łabutisów, kiedy mierzy w wielkie obszary najbliższych krewnych; do zamachu wciągnie i przekaona taki Powiślas i tesciowa Rukienie i żonę. To jest — straszne!

I kiedy trójka Anielukie, Łabutis i Marytę opuszczają dom kulaka sztuka urywa się nie w nieokreślonym momencie walki klasowej ale w bardzo wyraźnym: faszystowski kulak stracił powagę: nie wie, staje już jawnie i cynicznie przeciw „bliźnim“. Wobec własnego ludu i narodu zajmuje pozycję kolonizatora i na drodze na którą wszedł wraz z burżuazją, oczekuje na plebipotentację od zagranicznej centrali kolonizatorskiej. Nadiągający agresor to jego pan. Zdrada narodu to jego najbliższy krok. Ale dlatego też zbliża się czas, kiedy zapiają czerwone koguty! W obronie ludu i narodu!

Piotr Chmura

V. J. Jerome

Źródła rasizmu hollywoodzkiego

Gdy Lenin po Rewolucji Październikowej powiedział, że „najważniejszą ze wszystkich sztuk jest dla nas sztuka filmowa” myślał o jej znaczeniu dla budowy socjalizmu. Epicka wielkość radzieckiej sztuki filmowej, wspaniale potwierdziła wypowiedź Lenina o tym wielkim instrumencie szerzenia kultury. W warunkach ustroju kapitalistycznego jedynym film służy monopolom nie tylko jako źródło kolosalnych zarobków, lecz też jako najsilniejsza broń ideologiczna, wykorzystywana do kształtowania opinii milionów ludzi.

Faktem jest, że imperialistyczne credo szowinistycznego nacjonalizmu, głoszącego teorię o „wyższości białych”, formowało się już w pierwszych latach istnienia komercyjnej kinematografii w Stanach Zjednoczonych. Nie jest to tylko przypadek, że pierwszy amerykański film fabularny z 1898 roku (z tego samego roku, w którym imperializm amerykański ogłosił swój „Manifest Destiny” i rozpoczął wojnę mającą za cel wydranie Hiszpanii jej kolonii) nosił tytuł: „Tearing Down the Spanish Flag” („Zerwanie hiszpańskiej flagi”). Nie mniej symptomatycznym jest fakt, że w 1901 roku — w dwa lata od chwili, gdy sekretarz stanu Hay zapowiedział politykę „otwartych drzwi”, umożliwiającą grabież Chin — publiczność amerykańska poczęstowana została rasistowskim filmem „The Boxer Massacres in Peking” („Pekińska masakra Bokserów”), którego celem było wykazanie, że walka z imperializmem — prowadzona przez lud chiński jest „złoty niebezpieczeństwem” dla „białej cywilizacji”. „Street Scene in Peking” („Uliczna scenka w Pekinie”) — wyświetlana w tymże samym roku, pokazuje policję brytyjską przed poselstwem w momencie rozpędzania przez nią demonstracji chińskich „nieposłusznych obywateli”.

Imperialistyczna mitologia „anglosaskiego nadganku” była kultywowana systematycznie w licznych filmach, z których bodaj-że najbardziej wstrętnymi w swym szowinizmie były „Fights of Nations” („Walki narodów”), zrealizowane w 1905 roku. W filmie tym, Murzyn został skarykaturowany jako człowiek gotowy podciąć innemu gardło brzytwą. Żyd pokazany został jako „łapownik”, Meksykaniec jako „zdradziecki ichor”, Hiszpan jako „stłup amant”, Irlandczyk jako „pijak”, całe Stany Zjednoczone natomiast jako... przynoszące pokój wszystkim narodom.

Polityka przeciwstawiania ludzi urodzonych w Stanach Zjednoczonych tym, którzy urodzili się za ich granicami, białych — Murzynom, aryjskich Żydom, polityka dzielenia wszystkich po to, aby wszystkimi rządzić, ze specjalnym, rasistowskim zamiarem uniemożliwienia Murzynom wkroczenia na jakiś wyższy poziom rozwoju — była przemysłową pod każdym względem polityką władców naszego kraju. W polityce tej wykorzystywali oni systematycznie film.

Film amerykański nie tylko ignorował temat życia Murzynów, nie tylko pomijał milczeniem walkę i aspiracje ludu murzyńskiego, lecz też stereotypowo charakteryzował Murzynów jako podłe i odrzucające kreaturę, starał się pokazać Murzyna jako człowieka „gorszej kategorii”, jako bliźnię, głupca i slugusa. Wystarczy przypomnieć sobie takie filmy jak „Rastus in Zululand” („Rastus w kraju Zulusów”) czy też „How Rastus Got His Turkey” („W jaki sposób Rastus posiadał indyka”), nakręcone około 1910 roku. Podobnie obrażająca była seria „Sambo”, nakręcona między 1909 a 1911 rokiem oraz wspomniane już poprzednio „Walki narodów”.

Na początku drugiego dziesięciolecia bieżącego wieku — mniej więcej od roku 1910 do wybuchu pierwszej wojny światowej — pojawia się nowa tendencja w hollywoodzkim podejściu do zagadnienia murzyńskiego. W dalszym ciągu jednak kręcone są płytkie farsy, w których głównym elementem jest bijatka oraz statystyczne filmy komediowe. Nową tendencją, jeśli chodzi o zagadnienie murzyńskie w filmie amerykańskim, była ideologia waju Toma. Aby zrozumieć ten zwrot należy wziąć pod uwagę polityczne i społeczne tło życia Stanów Zjednoczonych w okresie poprzedzającym pierwszą wojnę światową.

Jest to okres „niepokojów ludowych” i ruchów masowych, zastrzeżony poważnym kryzysem ekonomicznym roku 1907. Jest to okres silnych nastrojów antytrustowych we wszystkich warstwach ludu, okres niezadowolenia wśród rolników, gniewu mas na system wyzysku i przekupstwa administracji. W kraju przeżwały nastroje antyimperialistyczne, dawały się słyszeć żądania wyjęcia wojny z pod prawa. Dążenie kobiet do emancypacji zyskiwało na sile, razem z walką o równe prawa dla kobiet pracujących. Było to również dziesięciolecie rozwoju związków zawodowych oraz zażartych walk strajkowych, wśród których na wymienienie zasługuje krwawy strajk w Chicago w 1905 roku, wielki strajk robotników fabryki Lawrence Textile w

1912 roku oraz strajki prowadzone przez Western Federation of Miners (Zachodnią Federację Górników). Były to również lata rozwoju Partii Socjalistycznej oraz wzrostu nastrojów socjalistycznych w masach, które znalazły swój wyraz w fakcie, że w wyborach prezydenta w 1912 roku 900.000 głosów oddanych zostało na kandydaturę Eugene'a Debsa.

Razem ze wzrostem wpływu Partii Socjalistycznej rozpoczął się okres walk, spowodowany coraz to większymi wymaganiami lewicowo nastrojonych mas proletariackich w stosunku do drobnomieszczańskiego, oportunistycznego kierownictwa. Walka ta doprowadziła do rozłamów organizacyjnych w 1909 i 1912 roku. Zakrojona na szeroką skalę i uwięziona powodzeniem akcja, mająca za cel uwolnienie postawionych w 1906-7 roku przed sądem przywódców Western Federation of Miners Moyera, Haywooda i Pettibone'a, była nowym objawem gniewu ludu. Prezydent Teodor Roosevelt tak wyraził się w roku 1906 w liście do jednego z senatorów: „Ludzie pracy są bardzo niebez-

jako Hollywood a dławiący wszelką wolną inicjatywę w zakresie filmu. Okres fermentu mas przed pierwszą wojną światową zawierał w sobie również dalszy rozwój dążeń ludu murzyńskiego, tworząc załazek współczesnego murzyńskiego ruchu wyzwolenieckiego.

Widząc wzrastający ferment wśród intelektualistów murzyńskich kapitalistyczni panowie Ameryki usilnie dążyli do opanowania przywództwa tworzącego się ruchu murzyńskiego. W tym celu chcieli oni narzucić przynoszący mu śmierć „patronat”, którego celem było spowolnienie opóźnienia rozwoju i zmniejszenia bojowości ruchu murzyńskiego, zmierzającego do pełnego wyzwolenia narodowego.

W następstwie tych wydarzeń w dziedzinie politycznej ekranowy wizerunek Murzyna nie mógł ograniczyć się do błazeńskich filmów o Rastusie czy też Sambo. Hollywood w dalszym ciągu pokazywało Murzyna jako umysłowo „niższego”, w dalszym ciągu spychało go do ról w farsach, w których bijatka była głównym elementem komizmu. Jednocześnie jednak czasy narzuciły

określone było w nich jako niemożliwe. Zadanie tego rodzaju filmów w nowych warunkach społeczno-politycznych polegało na uzupełnieniu w „poważny” i „tragiczny” sposób tego, co „na swoje kopyto” robili płytkie komedijki i bezdennie głupie farsy.

Gdy jednak w Europie padły pierwsze strzały taktyka ta uznana została za niewystarczającą. Hollywood uczynił nowy, zdecydowany zwrot z chwilą wybuchu imperialistycznej pierwszej wojny światowej.

Wmieszanie się Stanów Zjednoczonych do wojny było planowane już od pierwszych chwil jej trwania przez panujące imperialistyczne koła Wall Streetu. Przygotowania do wojny wymagały nalaśowania atmosfery ideologicznej szowinizmu, rasizmu i brutalności. Plany Wall Streetu zmierzające do stworzenia imperium Stanów Zjednoczonych wymagały gloryfikacji „wyższej rasy” białych Amerykanów. W polityce wewnętrznej oznaczało to wzmocnienie ataków przeciwko ludowi murzyńskiemu. Piętniomiom nie nawiązywał wzmianką przeciwko ludowi murzyńskiemu sekundowała polityka przetrucia ciężaru wojny na Murzynów i masy pracujące białych.

Aby rozprawić się z nastrojami antywojennymi mas koniecznym było osłabienie rozwijającego się coraz bardziej sojuszu proletariatu białego i czarnego. Należało również wziąć pod uwagę fakt, że produkcja wojenna będzie potrzebowała wielu robotników murzyńskich w przemyśle. Nie chciano jednak dopuścić do tego, aby przy tej okazji powstała solidarność robotników białych i czarnych. Gdy uścisł napływ taniej siły roboczej z innych krajów w następstwie wybuchu wojny w Europie, fabryki północnych Stanów zaczęły popierać napływ taniej siły roboczej z Południa. Należało przygotować „usprawiedliwienie” rozdziału dzielnic „mieszkalnych” dla Murzynów i białych, trzeba było „wyjaśnić” uwolnienie żołnierzy murzyńskich w oddziałach amerykańskich, którzy mieli ginąć w nadchodzącej wojnie, „uzasadnić” — jednym słowem — wzrastające uciemiężenie narodowe ludu murzyńskiego.

Realizując to swoje zasadnicze nastawienie Hollywood wyprodukował w 1915 roku film „The Birth of a Nation”. Charakterystycznym jest to, że pierwsze „arcydzieło”, najdłuższy i najkosztowniejszy w owym czasie film, był filmem fałszywym i w nadzwyczajnym stopniu gloryfikującym ustrój niewolniczy a znieważającym lud murzyński!

Jeśli poprzednio Murzyn pokazywany był zazwyczaj jako błazen albo jako wuj Tom, obecnie został pokazany jako „bestia”. Bagno „kultury” kapitalistycznej ujawniło się w tym wypadku w całej rozciągłości.

Film ten nadał ton wszystkim przyszłym oszczerstwom filmowym, rzucanym na lud murzyński oraz fałszom na temat odbudowy. Konkretnie rzecz biorąc film ten starał się „usprawiedliwić” odmowę przyznania równych praw cywilnych i jednakowych możliwości życiowych dla Murzynów i dla białych, starał się „uzasadnić” gwałt, terror i prawo linczu.

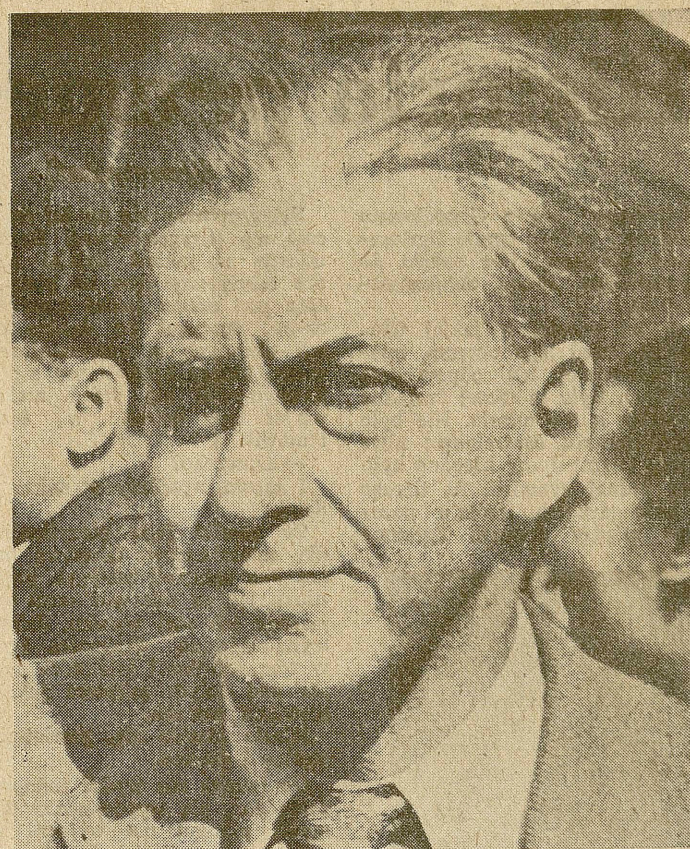
Wyświetlanie tego filmu spotkało się z burzą protestów w Stanach Zjednoczonych. W tej kampanii przeciwko niemu w pierwszym szeregu znaleźli się Murzyni. Akcja protestacyjna N.A.A.C.P. sprawiła, że razem z masami również wybitne jednostki przystąpiły do zwalczania tego filmu. W następstwie protestów film ten był przez jakiś czas zakazany w niektórych Stanach.

Nie ulega wątpliwości, że film „The Birth of a Nation” przyczynił się do odrodzenia gloryfikowanego przezeń Ku-Klux-Klanu. Organizacja ta w roku 1924 liczyła 5.000.000 członków!

Począwszy od 1915 roku wszystkie filmy hollywoodzkie mówiące o Południu albo o wojnie domowej posiadają przychylne dla konfederatów nastawienie. W ani jednym z tych filmów nie pokazano, że słuszność w wojnie domowej była po stronie Północy czy też, że właściciele Murzynów słusznie ją przegrali. Filmy tego rodzaju okazały się ideologicznym poparciem dla systemu przymierza Wall-Streetu z planfatorami z Południa w ich rasistowskiej, profaszystowskiej, imperialistycznej polityce.

W okresie 35 lat kapitalistycznej produkcji filmowej (od chwili nakręcenia „The Birth of a Nation”), Hollywood dąży coraz bardziej do uwiecznienia mitu o „wyższości białych” w celu zahamowania rozwoju ruchu ludu murzyńskiego o wyzwolenie narodowe i zapobieżenia powstaniu skutecznego przymierza murzyńsko - robotniczego we wspólnej walce z uciskiem kapitalistycznym. Postawa ta charakterystyczna jest dla 50 lat istnienia kontrolowanego przez kapitalistów filmu w Stanach Zjednoczonych.

J. Jerome
tłum. E. M.



Ilya Erenburg ukończył 60 rok życia

Ilyę Erenburga znamy wszyscy jako pisarza-działacza. Jako pisarz zdumiewa swoją wszechstronnością. Jego pióro równie swobodnie włada w dziedzinie wielkiej powieści jak reportażu i publicystyki. Wszędzie ukazuje Erenburg wielką, istotną konflikt naszych czasów, walkę dwóch sił, siły postępu i wsteczności, siły socjalizmu i imperializmu, siły pokoju i wojny, siły życia i śmierci. Stąd ogólnoludzkie, międzynarodowe, światowe znaczenie jego twórczości, tak jak ogólnoludzkie, międzynarodowe i światowe znaczenie m. kultura radziecka, kultura epoki stalinowskiej, z której właśnie całe piśmiennictwo Erenburga wyrasta. Jako publicysta zwycięskiego socjalizmu Erenburg jest tak samo typowy dla swojej epoki, jak był nim kiedyś Gorki.

Nasza czytelniczka słusznie zauważyła na marginesie „Burzy”: „Losy krajów i ludzi są w książce Ilyi Erenburga ściśle ze sobą powiązane. Ludzie radzieccy walczą i giną nie tylko za swoją ojczyznę. Oni oswabdzają krwią szczytów przelaną i lekkomyślny Paryż i dotknięty szaleństwem Berlin...” (E. Dalin, „Wies” nr 49 z 1950 r.). Na książkach Erenburga czytelnicy polscy uczynili się i uczą patriotyzmu i internacjonalizmu proletariackiego.

Dużo powodów złożyło się na to, że spośród popularnych w Polsce Ludowej autorów radzieckich Ilya Erenburg stał się nam bodaj najbliższy. Słuchaliśmy płynących z Kongresów Pokojowych jego żarliwych słów w obronie kultury i pokoju. Słów o niepodzielności kultury, która jest tak niepodzielna jak niepodzielna jest wolność i jak internacjonalistyczny jest ruch wy-

zwolniony mas, słów, którymi Erenburg wytrącał broń z rąk podpalaczy świata. Gościliśmy go już parokrotnie w Polsce, przyjeżdżał krzepić w nas wiarę w zwycięstwo pokoju. Mobilizował do walki przeciw wojnie przygotowywanej przez grabarzy kultury. Zdobył sobie nasze serca. Pamiętamy, jak w pewien dżdżysty, listopadowy poranek w podniosłych dniach Kongresu tłum mieszkańców Stolicy zatarasował Aleję Jerozolimską. Po kilka godzin oblegali cierpliwie czytelnicy Erenburga, podpisującego swe książki na wielkim kiermaszu literatury. Koło Erenburga tłoczono się najbardziej. Jego nazwisko najczęściej powtarzało się przy stoiskach.

Nie jest przypadkiem, że właśnie ostatnio, w chwilach wzmagającej się walki o pokój gościł Erenburg szczególnie często także na łamach naszego pisma i „bezpośredni” (w nrze 48 z ub. r. i w nrze 3 z b. r.) i w obszernej recenzji z „Burzy” (nr 36 z ub. r.) i w artykule o swojej publicystyce (nr 1 z b. r.) i w wypowiedziach czytelników (nr 49 z ub. roku).

W styczniu 1951 r. Erenburg ukończył 60-ty rok życia w służbie pokoju, socjalizmu i kultury. Jego twórczość, jego praca działacza, jego całe życie pokazują dobitnie, że te trzy sprawy są ze sobą najściślej i nierozdzielnie związane. Zaskarżać sobie tym uznaniu i miłości milionów prostych ludzi na całym świecie, milionów tych właśnie ludzi, których brat najchętniej na bohaterów swych pięknych książek.

Z okazji tej urodzinowej rocznicy składamy Ilyi Erenburgowi z sercem płynące życzenia dalszej owocnej pracy dla dobra socjalizmu i pokoju.

Stanisław Pięta

Piętno hańby

Nachylali się nad kwiatami jak nad źródłem.
Wzruszały ich chmury, łapki zwierząt wychudłe.
Nim księgi, pióro wzięli do stroskanej ręki,
pokornie pod ciemniejącym niebem ukłękli.
— Szczęśliwy był trud, los naszego pokolenia.
My w przyszłym życiu szukaliśmy ocalenia...
Tak myśleli i cicho modlił się szepcąc,
ale nazajutrz rano pismo podpisał,
by atomową bombę rzucić na Koreę...

Jak krew na piasku świadectwo zbrodni widnieje.

Ta chwila

Po burzy księżyc wzeszedł, mrok roztulił domu.
W promieniach nocy dźwiękałem lata, ojczyznę.
Oczy szukały długą granic nieboskionu.
Pagórek, schyłona wierzba, kamień przynę
kochałem nawet. Już nie szarpały wspomnienia,
biegło na wspólnej ziemi twórcze życie ludzi
i dzieci nie padały z głodu u płomienia,
jak kiedyś ja... Do pociągu przyszedł mnie zbudzić...

Na kartce

Cóż — i podeszłych lat chciałbym dożyć.
Wsiadać jak kiedyś z radością do sań.
Hujawa śnieżnym grzmiotem się trwoży
i księżyc mknie jak cień ściganych łań.

Wtedy na pewno miną już zwady.
Śmiech jak gołębie wzleci nad placem.
Na płaskach wyrosną bujne sady.
Dzieci warg sycić nie będą placem.

Spokojny wyjdę na znane pola,
Gdzie już nie będzie miedzi ni śladów krwi.
Cienia użyczy stara topola.
— Że idę młody tędy — będę snił...

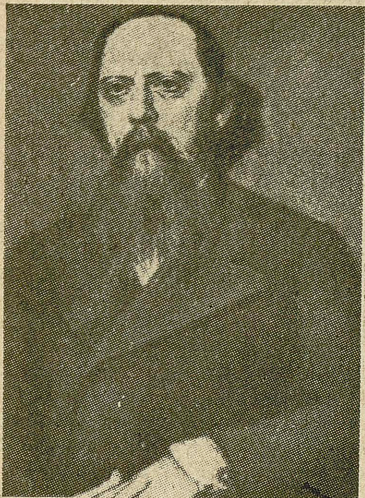
Michał Saltykow - Szczedrin

Historia pewnego miasta

(Fragment)

„Załatwiwszy się z Grusztówem i rozpedziwszy szaloną zgraję Ugrium-Burczewów przystąpił bez zwłoki do urzędowania swego obłąkającego pomysłu.

Ale w tej postaci w jakiej Głupow stanął przed jego oczyma, miasto to bynajmniej nie odpowiadało jego ideałom. Była to raczej beznadziejna kupa chałup, a nie miasto. Nie było wyraźnego punktu centralnego; ulice biegnęły tam i sam; domy klekono byle jak; bez żadnej symetrii, tu tłoczące jedno koło drugich, ówdeż pozostawiając między domami ogromne



Michał Saltykow-Szczedrin

puste miejsca. Tak więc trzeba było nie poprawiać, ale tworzyć od nowa. Co jednak może oznaczać słowo „tworzyć” w umyśle takiego człowieka, który od najmłodszych lat zaprawił się w spełnianiu roli zburawca? — „Tworzyć” — to znaczy wyobrazić sobie, że jest się w gęstym lesie, to znaczy wziąć w ręce siekiere i wybuchając tym twórczym narzędziem na prawo i lewo iść wytrwale, gdzie oczy poniosą. I tak właśnie postąpił Ugrium-Burczew.

Nazajutrz po przyjeździe obszedł całe miasto. Nie go nie powstrzymało — ani krzyżowa ulica, ani mnogość zaułków ani rozrzucone obywatelskie chałupy. Wiedział tylko jedno: że ma przed oczyma gęsty las i że trzeba się z tym lasem zatać. Natknąwszy się na coś nieprawdopodobnego Ugrium-Burczew wbił wien na chwilę zdumiony wzrok, ale natychmiast wychodził z osłupienia i milcząc wykonywał taki ruch ręki jakby projektował linię prostą. Szedł długo wciąż wyciągając rękę w przód i projektując i dopiero wówczas gdy przed oczyma jego stanęła rzeka, poczuł, że dzieło się z nim coś niezwykłego.

Zapomniał... nic podobnego nie przewidywał... dotychczas fantazja jego szła ciągle wprost, po równym polu, usuwała na bok, rozcinała i wznosiła momentalnie nie uznając przeszłości i żywiąc się wyłącznie swoją własną treścią. A tu nagle... widać się wstęga płynnie stali błysnęła mu w oczy, błysnęła i nie tylko nie znikła ale nawet nie zamaria pod wzrokiem tego bazylijskiego z urzędu. Nie przedstawiała poruszać się, falować i wydawać jakiegoś niezwykłego ale bezwzględnie żywego dźwięku.

— Kto to? zapytał przerażony. Ale rzeka gwarzyła dalej, a w jej mowie słychać było coś jakby kuszenie, coś prawie groźnego. Dźwięki te zdawały się mówić: „Chytrzy twój obłąd, łajdak, ale jest jeszcze drugi obłąd, który bodajże okaza się chytrzejszy niż twój”. Tak był to także obłąd, albo lepiej: stanął tu twarzą w twarz dwa obłądki. Jeden stworzony przez samego Ugrium-Burczew i drugi, który wdzierał się skądś z boku i oznajmiał o swojej zupełnej niezależności od pierwszego.

— Dlaczego? wskazyując oczyma rzekę Ugrium-Burczew zapytał towarzyszących mu cyrkulczych, gdy minął pierwszy moment osłupienia.

Cyrkulowii nie zrozumieli, ale we wzroku naczelnika było coś do tego stopnia wykluczającego jakąkolwiek możliwość uchylenia się od objaśnienia, że postanowili odpowiedzieć nawet nie rozumiejąc pytania.

— Rzekła... gnój — bełkotali ni w pięć ni w dziesięć.

— Dlaczego? — powtórzył z lekkiem i nagle jakby bojąc się pograć, c w dalsze badania, gwałtownie wziął obrót na lewo i ruszył z powrotem.

Krocząc nerwowo wracał do domu mamrocząc pod nosem:

— Ujarmię, ja ją ujarmię!

W domu w ciągu minuty rozstrzygnął sprawę gruntownie. Dwa równie wielkie bohaterkie zadania stanęły przed nim: zburzyć miasto i odepchnąć rzekę. Środki wypełnienia pierwszego zadania obmyślane były już wcześniej; środki wypełnienia drugiego majaczyły mu się jeszcze mgliście i zagmatwane. A że nie ma w przyrodzie takiej siły, która mogłaby przekonać łajdaka, że czegoś nie wie, to w tym wypadku niewiedza stała się nie tylko równa wiedzy ale nawet pod pewnym względem była od niej mocniejsza.

Nie był on ani technologiem ani inżynierem, ale był całą gębą łajdakiem, a to jest także swojego rodzaju siła, przy pomocy której można ujarzmić świat. Nie wiedział nic ani o procesie powstawania rzek, ani o prawach, według których spływają one w dół a nie w górę, ale był przekonany, że wystarczy tylko wskazać: stąd — dotąd — i na przeciąg wymierzonej przestrzeni z pewnością powstanie ład, a dalej tak jak dawniej na prawo i na lewo będzie płynęła rzeka.

Zatrzymawszy się na tej myśli zaczął się przygotowywać. Brodził po ulicach w jakimś dziwnym zamyśleniu założywszy ręce na plecy, mrużąc pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa. Spotykał po drodze obywateli ubranych w najrozmaitsze lachmany, którzy kłaniali mu się w pas. Zatrzymywał się przed niektórymi, wbił w tył wzrok w lachmany i mówił:

— Dlaczego?

I znowu wpadłszy w zadumę szedł dalej. Te chwile jego zamyślenia były dla mieszkańców Głupowa najcięższe. Jak ośmiali zastygali przed nim nie mając siły oderwać oczu od jego jasnego jak stal wzroku. Jakas nie wypowiedziana tajemnica kryła się w tym wzroku i tajemnica ta zawiązała nad całym miastem jak ciężka ołowiana zasłona.

Miasto skuliło się, powietrze było ciężkie i duszne.

On jeszcze nie wydał żadnych rozporządzeń, nie wypowiedział żadnych myśli, nikomu nie wyjawiał planów a wszyscy zrozumieli już, że nadszedł koniec. Przekonywało o tym nieustanne pojawianie się idioty, który nosił w sobie tajemnicę; przekonywał o tym cichy poryk, wydobywający się z jego warg.

Niedostrzegalnie wkładł się wódt obywateli ponury przestrach i niepokojnie zawiadniał wszystkich. Wszystkie siły myślowe skupiły się wokół tajemniczego idioty i pełne dręczącego niepokoju krążyły w jednym zaczerwionym kole, którego centrum był on. Ludzie zapomnieli o przeszłości i nie zastanawiali się nad przyszłością. Chęć nie chęć spełniali niezbędne życiowe czynności, chęć nie chęć spotykali się ze sobą, chęć nie chęć żyli z dnia na dzień. Ku czemu, to prowadził? Oto jedyną zagadnienie, które jasno stało weeb każdego, kto widział w dalei nadchodzącego idiotę. Po co żyć, jeśli życie na zawsze zatrute jest wyobrażeniem idioty? Po co żyć jeśli nie ma sposobu uchronić wzroku od jego przeraźliwej wszechobecności? Głupowianie zapomnieli nawet o wzajemnych sporach i pochowali się po kątach w marketnym oczekiwanii...

Zdawało się że i on rozumiał, że nadszedł koniec. Nie zajmował się żadnymi bieżącymi sprawami a do urzędu nawet nie zachodził. Zadechydował raz na zawsze, że dawne życie bezpowrotnie zapadło w wieczność i że zatem nie warto nawet niepokoić tego śmiecia, które nie ma nic wspólnego z przyszłością. Cyrkulowii doszli do wyczerpania moralnego i fizycznego. Wyciągnęli jak struna z zapartym oddechem ustawiali



Malował W. G. Szware (1868)

się wzdłuż linii, po której on przechodził i oczekiwali na jakieś rozkazy; ale rozkazów nie było. On w milczeniu przechodził obok nich nie zaszczyciwszy ich nawet spojrzeniem. Zabrakło w Głupowie jakiegokolwiek sądu: czy to miłośniergo czy niemilosiernego, czy szybkiego czy powolnego. Z początku Głupowianom z dawnego przyzwyczajenia przyszło do głowy zwracać się do niego z pretensjami i skargami, ale on ich nawet nie zrozumiął.

— Dlaczego? — mówił w jakimś dziwnym zdumieniu mierząc skarciącym wzrokiem od stóp do głów.

W popłochu obejrzał się Głupowianie wstecz i z przerażeniem stwierdzili, że poza nimi w samej rzeczy nic nie ma.

Nastąpił wreszcie straszliwy moment. Po krótkich wahanach postanowili następująco: najpierw zburzyć miasto, a dopiero potem wziąć się do rzeki. Widocznie spodziewał się jeszcze, że rzeka sama się opamięta.

Na tydzień przed dniem św. Piotra wydał rozkaz: wszyscy mają pójść. Chociaż Głupowianie zawsze chętnie poszli, to jednak strapił się mocno wysłuchawszy niespodziewanego rozkazu Ugrium-Burczewia.

Widocznie naprawdę czekał ich coś decydującego, skoro potrzebował aż takich przygotowań dla przyjęcia tego decydującego. Kwestia ta ścisłała smutkiem wszystkie serca. Myśleli z początku, że on będzie strzelał, ale zająwszy na naczelnikowskie podwórze, gdzie stał sprzęt armatni, z którego zwykle strzelano do obywateli, przekonali się, że armaty nie są nabite. Potem zatrzymali się na przypuszczeniu, że będzie przeprowadzona powszechna „rewizja” i zaczęli się do niej przygotowywać: chowali książki, listy, skrawki papieru, pieniądze a nawet obrazy — słowem wszystko, w czym można się było dopatrzeć jakiegokolwiek „poszlaki”.

— Kto go tam wie, co on za jeden? — szeptał między sobą Głupowianin: — Może nawet farmazon?

Marek Pieczyński

Wielki demaskator

1.

Lenin pisał jeszcze w 1912 roku: „Dobrze byłoby od czasu do czasu przypominać, cytować, komentować w „Prawdzie” Szczedrina i innych pisarzy...”. Słowa te nie straciły nic ze swej aktualności. Twórczość Saltykowa-Szczedrina, który głęboko kochał lud rosyjski i walkę o jego oswobodzenie traktował jako główny cel swego życia, pozostanie na zawsze w literaturze światowej, stanowiąc najbardziej bojowy oręż w rękę proletariatu.

Michał Saltykow-Szczedrin urodził się dnia 15 stycznia 1826 roku w magnackiej rodzinie rosyjskiej. Dziecięce lata pisarza, przynależąca atmosfera domu rodzinnego znalazły odbicie w wielu późniejszych jego utworach m. in. w powieści „Państwo Gołowlewów”. Mając 10 lat Saltykow rozpoczął naukę w Moskiewskim Instytucie, a po dwóch latach w carskim szkole Liceum. Liceum to w niczym nie przypominało już puszkiniowskich czasów, kiedy było przybytkiem postępowej myśli w samodzielną Rosję. Za czasów Szczedrina wychowywało ono carskich ministrów i lokajów.

Ale był to okres, kiedy w literaturze rosyjskiej zrywała się burzliwa działalność Bielińskiego. W 1844 r. Saltykow kończy liceum. Na kształtowanie się jego światopoglądu działalność Bielińskiego, zbliżającego się w tym okresie do pozycji utopijnego socjalizmu, miała wpływ olbrzymi. W tym samym kierunku działała na pisarza znajomość Pietraszewskiego, w którego kółku Saltykow znajduje się w tym okresie.

Literackim manifestem tych poglądów Saltykowa stała się wydane na fali ruchów rewolucyjnych 1848 roku pierwsze utwory „Zagmatwana sprawa” i „Sprzeczności”. Wydrukowane w „Otczestwien-nych zapiskach” po rewolucji lutowej we Francji, musiały spowodować reakcję carskiej cenzury i administracji. W 1849 roku Saltykow zostaje zesłany do Wiatki za to, że przeciwstawiając się ogólnym przepisom bez zezwolenia i wiedzy rządu zamieszczał w periodycznej prasie swoje literackie utwory, ukazujące obraźliwy obraz jego myśli i zabójcze dążenia do rozpowszechniania idei ogarniających już całą Zachodnią Europę i naruszających władzę oraz spokój publiczny”. Zsyłka w Wiatkę, to okres zastójności działalności twórczej Szczedrina, okres zbierania materiałów i faktów do dalszej działalności pisarskiej. Śmierć Mikołaja I w 1855 roku uwalnia Saltykowa, który wraca do Petersburga w okresie reformy uwłaszczeniowej w 1861 roku. Saltykow w walce o jej rewolucyjny charakter staje po stronie Czernyszewskiego i Dobrolubowa.

W 1862 roku Saltykow po aresztowaniu Czernyszewskiego wchodzi do redakcji „Otczestwiennyje zapiski”, pozostając w nim aż do chwili likwidacji czasopisma, to jest do roku 1884. Jest to etap najwyższej działalności pisarskiej i publicznej Szczedrina. W tym okresie powstają dwie największe jego powieści: „Historia jednego miasta” i „Państwo Gołowlewów”, chłoszczące bezlitośnie system carskiego ucisku i demaskujący rozkład pasywnego obszarnictwa. Z ostatniego etapu działalności pisarskiej Szczedrina pochodzą jego znakomite bajki, przemycające w „niewinnej” po pozorze postaci wnikiwą krytykę społeczeństwa klasowego, która stawia Szczedrina w rzędzie największych satyryków literatury światowej Rabelaisa, Swifta i Woltera.

Cała postępowo ludzkość złożyła hołd geniuszowi satyrycznemu Saltykowa-Szczedrina w 125-ty rocznicę urodzin. I dlatego dobrze się stało, że w ciągu ostatnich miesięcy naszym czytelnikom udestępnione zostały w polskim tłumaczeniu dwa słynne utwory Szczedrina: „Państwo Gołowlewów” oraz „Kukły i ludzie” (wyd. przez „Książkę i Wiedzę”). „Państwo Gołowlewów” to jedno z najznakomitszych dzieł rosyjskiego wielkiego realizmu.

2.

„Istnieją rodziny, nad którymi ciąży nieodurączalne przeznaczenie. Można to zauważyć zwłaszcza w środowisku drobnych posiadaczy ziemskich, którzy nie pracując, ani nie mając łączności z właściwym życiem i nie biorąc udziału w rządzeniu, chronili się najpierw pod opieką prawa państwowego, roztłumił po powrocie na ziemi rosyjskiej, obecnie zaś pozostali bez ochrony i kończą swą egzystencję w walcących się dworach. W życiu tych biednych rodzin zarówno powodzenie, jak i niepowodzenie zależy tylko od przypadku, od jakiegoś trafu czy okoliczności”. Już u samego końca „Państwa Gołowlewów”, kiedy czytelnik staje rzeczywistość zdruzgotaną wobec nawały podłości i zła całego ukazanego w powieści świata, autor z całą świadomością podaje klasowe zasady analizy rzeczywistości, stawia temat wyraźnie w społecznych, klasowych proporcjach.

Powodzenie zależne od trafu i od sprzyjających okoliczności! Może byłoby to niejasne, gdyby akcja powieści nie toczyła się akurat w pobliżu roku 1861. W świecie rodziny Gołowlewów zdaje się być obecnie

nemożliwy jakiegokolwiek sprzyjający traf. Dla Ariny Pietrowny rok 1861 był straszny; nie nie rozumiała ona z całej ustawy uwłaszczeniowej. Zdawało się jej, że to koniec świata. No, przecież chłopów nawet sądzić nie będzie można!

Sens i temat książki odsłania tutaj autor bez przemilczeń: rodzina Gołowlewów to symbol tej części obszarnictwa rosyjskiego, która nie umie przystosować się do nowych warunków gospodarczych, nie umie przejść na kapitalistyczną gospodarkę. Związana aż do śmierci z feudalizmem musi ginać wraz z nim w straszliwej agonii rozkładu moralnego i upadku umysłowego. Bez względu na Szczedrina jest bezwzględnością dialektyki rozwoju społecznego.

Ale kontrastów można przytoczyć więcej.

Losy dwóch młodych pokoleń Gołowlewów nie mają nic wspólnego z „wspnianym” obrazem rozwoju i rozkwitu. Dwaj synkowie Judaszki, wódcy się po oficcerskich szkołach, kończący samobójstwem spowodowane defraudacji czy niemożności zdobycia środków utrzymania — to znowu te same rozbitki feudalizmu. Analiza klasy obszarniczej dokonana przez Szczedrina nie była głosem odosobnionym. Ale ukazanie jej w tak wyraźnej klasowej perspektywie, przeprowadzenie z taką bezwzględnością krytyki społeczeństwa klasowego — stawia powieść w rzędzie szczytowych osiągnięć rosyjskiego realizmu krytycznego.

Uwaga Saltykowa ześrodkowana jest w dużej mierze na wewnętrznych przeżyciach bohaterów, na rozbudowaniu argumentacji psychologicznej. Musi zrodzić się pytanie, w jakim stosunku do owej psychologicznej motywacji powieści znajduje się typowość postaci i konfliktów powieściowych Szczedrina. Lat 60—70 ubiegłego stulecia w Rosji wysuwają jeszcze ciągle na pierwszy plan konflikt klasowy chłopów i szlachty — obszarnika. Saltykow-Szczedrin przeprowadzał swoją analizę z całą nienawistą chłopskiego demokracji, rewolucyjnego, rozumiejącego dół chłopów a jednocześnie niewidzącego klasę szlachecką całą siłą osobistych doświadczeń, wyniesionych z domu rodzinnego i przeżytych młodości. Nie nadarmo przecież w obrazach życia Ariny Pietrowny będą pobrzmiewać echa rodzinnego domu pisarza. Nemożliwością jest, aby taką krytykę Gołowlewskich stosunków mógł przeprowadzić ideolog z wewnątrz klasy. Szczedrin stoi w swojej powieści na pozycjach chłopskiego ideologa lat 70-tych. Wyraża się to w powieści nie tylko przez pozycję krytyczną w stosunku do klasy obszarniczej, ale i przez bezpośrednie obrazy życia chłopskiego, przez ukazanie klasowego ucisku chłopów.

Ze szczególną siłą i wyrazistością przemawiają do nas chorobliwe wizje Judaszki: „Już dawno Porfirij Władimircz zamierzał obłączyć, ile mogąc mu przynieść zasiewy i teraz właśnie nadeszła odpowiednia chwila. Wie, że chłop zawsze jest w potrzebie, zawsze chciałby pożyczć, a zawsze oddaje uczciwie, nawet z lichwą. Chłop szczególnie jest hojny, jeżeli chodzi o jego pracę, która nie kosztuje i na tej zasadzie przy obrachunkach nie bierze się jej pod uwagę, jakby ofiarowana była dla pięknych oczu. A wiele jest na Rusi ludu będącego w potrzebie, och, jak wiele! Wiele jest ludzi, którzy nie mogą określić dzisiaj, co ich czeka jutro; wielu jest takich, którzy gdziekolwiek obróć, smutny wzrok wszędzie widzą beznadziejną pustkę i wszędzie słyszą tylko jedno słowo: Oddaj, oddaj! I oto wokół tych beznadziejnych ludzi, wokół tej wiecznej biedy zaczyna Judaszka snuć swą nieskończoną pajęcinę chwilałami upadając w jakąś obłąkaną orgię”. Obłąkane wizje Judaszki nie są wcale takie chorobliwe: stanowią one dowód, jak daleki jest Szczedrin od wszelkiej patologii, jak głęboko klasowe jest jego widzenie świata, jak silnie uczuciowo związany jest z ludem pracującym. Głęboki ludowy patriotyzm uderza z wielu stron powieści. Za bezlitosną oceną obszarnictwa bije gorące serce pisarza związanego z ludem rosyjskim, z jego ciężką dolą. Saltykow-Szczedrin ukazał nie tylko proces społeczny rozkładu klasy obszarniczej; ukazał także sugestywnie bohaterów tego procesu, nadszykując mocno rozbudowanych psychologicznie, żywych przez swoje typowe cechy do dziś. Nie ma chyba czytelnika, dla którego rozkład moralny Gołowlewa nabierałby cech wyłącznie patologicznych. Nikt przecież nie ulegnie czarowi owych zdawałoby się beztrudnych wieczorów u Judaszki, kiedy to razem z Ariną Pietrowną i Euprosyką „odchodziła” partycja dumna, syczał samowar i przed świętymi obrazami wesoło paliły się lampki. Za wszystkim, za całym Judaszkowym życiem wisi cień determinacji rozkładu klasowego, tak, jak nad każdym z rodziny Gołowlewów. W tym procesie równie ważne są przytłumione wieczorki z babunią, jak i krwawe rojenia, w których Judaszka z taką rozkoszą lubował się w krzywdzie ludzkiej, z taką zjadliwością spekulankotrzeźwej wyobraźni zamęczał chło-

pów lichwiarskimi pożyczkami na przednówku, zajmował się wypływaniem kradnących w lecie opał.

Operując typami pokazuje Szczedrin także proces gospodarczego upadku rosyjskiej szlachty. Arina Pietrowna na pierwszych stronach powieści edukująca rodzinę przy pomocy absolutnej bezduśności i skąpstwa, wspaniale rozbudowuje majątek, skrzętnie liczy nowe dusze i hektary, wykorzystując każdą możliwość, każdą licytację, każde wahanie czy upadek sąsiadów. Pracuje dla „rodziny”, ale rodzina ta jest już mitem. Jej trzej synowie: Paweł, Piotr i Judaszka są jej zupełnie obcy; nie może się ona pogodzić z myślą, że którykolwiek z nich obejmie po niej spuściznę. Jest to ten sam kołowrót, w jaki wpadnie potem Judaszka. Błądny wir skąpstwa i chęci posiadania, posiadania coraz większej i większej ilości bogactw. Przypomina się rozmowa z amerykańskim miliarderem, którą opisuje Gorki: „Po co panu tyle pieniędzy?”, „Żeby robić jeszcze więcej pieniędzy”. „A po co co jeszcze więcej pieniędzy?...” Wszyscy bohaterowie Szczedrina nie wiedzą, „po co”, a ponieważ posiadanie jest ich życiem, nie wiedzą, po co żyją.

Judaszka jest centralną postacią utworu, jest jednocześnie najbardziej typową z całej rodzinnej galerii. I nie przypadkiem losy Judaszki łączy się z reformą uwłaszczeniową 61 roku, sankcjonującą narastanie elementów kapitalistycznych w Rosji. W psychologicznej płaszczyźnie typów ludzkich tak, jak je rysuje Saltykow, wyraża się to przez podkreślenie i wydobycie dominujących cech charakteru Judaszki: obłąd. Obłąd Judaszki różni się zasadniczo od burżuazyjnej: jest ona metodą jego samoobrony przed kapitalizacją życia. Obłąd, zakłamanie wewnętrzne i zewnętrzne, słodkość dla przykrycia najgorszych instynktów, nabożność, połączona z krecią podkopującą wsiećkością, tyśiące pozornych niewinnych masek, za którymi, i o tym wszyscy wiedzą, kryje się prawdziwe oblicze chciwa bez skrupułów i sumienia — to wszystko „wycienione i plastycznie ukazane w jednej typowej postaci, tworzy z niej wspaniały obraz zakłamania klasowego społeczeństwa. Dlatego Lenin bardzo często używał obrazu Judaszki dla celnego satyrycznego scharakteryzowania dwulicowców politycznych.

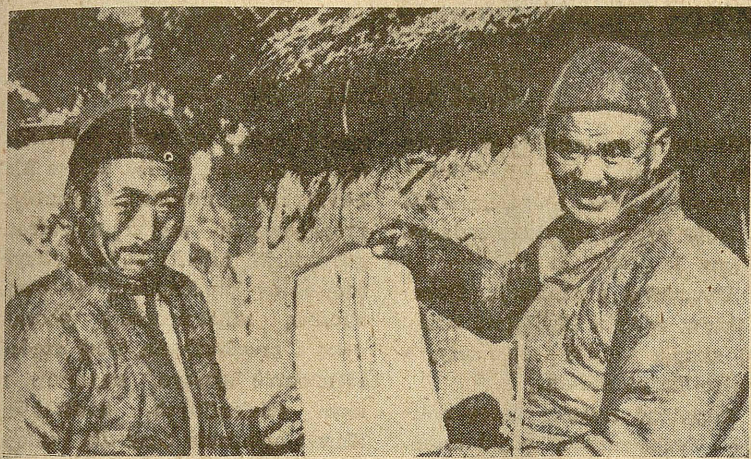
Mamy w powieści inny jeszcze obraz wykoślawienia moralnego — to Anusia. Jej droga spod skrzydeł ciotki zaprowadziła ją do największego upodlenia kobiety w społeczeństwie kapitalistycznym — do domu publicznego. Działalność tak-że niewiedzialne fatum mieszczańskiej opinii publicznej, burżuazyjnego widzenia świata. Kiedy Anusia zjawia się po raz pierwszy w Gołowlewie pełna jeszcze młodości i zapal, kiedy toczy się w niej walka między „sielskim” życiem wiejskim w sąsiedztwie Judaszki a wesołym życiem kabaretowej artystki, zdaje się sobie sprawę, że walka jest pozorną, że w Gołowlewie jest „strasznie”, ale że kiedyś to życie wesołej artystki będzie również straszne. Tragiczna logika losów Anusi daje nam przynębiający obraz. Zdaje się sobie sprawę, że nie ma wyjścia poza tę sytuację, że w tym społeczeństwie nie będzie już niczego nowego poza nowymi falami zgnilizny i rozpadu, że pozostaje tylko zburzyć to społeczeństwo, zniszczyć taką klasę.

Ale w losie Anusi i Judaszy zamknięta jest jeszcze jedna cicha twórczość Szczedrina, odcinająca go wyraźnie od dostojewszczyzny — głęboki humanizm. Autor ukazuje, że chcą one rzeczywistość czegoś lepszego, że szukają wyjścia ze straszliwej gołowlewskiej rzeczywistości. Nie one są winne, że jedynym wyjściem z tej rzeczywistości w ramach ustroju jest dom publiczny. Tragizm naiwnej ludzkiej istoty, która niewiele rozumie ze świata, ale która głęboko pragnie czegoś lepszego, ten tragizm buduje zupełnie inny stosunek uczuciowy autora i czytelnika do losu obydwu kobiet, ukazując antyhumanistyczną treść społeczeństwa klasowego. Dlatego samobójczą śmierć Lubusi wstrząsa czytelnikiem do głębi. Jest ona w przeciwieństwie do śmierci innych Gołowlewsów naprawdę tragiczna.

Obłąd Anny i śmierć Judaszki kończą powieść, ale nie zamykają procesu rozkładu feudalnej własności. Saltykow-Szczedrin, sugerując w zakończeniu beznadziejność i ohydę takich stosunków, wyraża najmocniejszy protest przeciw klasowemu społeczeństwu, woła o zburzenie niesprawiedliwego, woła o zlikwidowanie społeczeństwa, składającego się z ciemniejących i ciemniejących.

Marek Pieczyński

Tłum. A. B.



Bezrolni Chińczycy z aktem nadania im ziemi przez rząd. Fot. A.P.I.

Zenona Macużanka

„W Chinach urodził się Mao Tse-Tung..”

Powieść chińskiego pisarza Ting Linga*) jest pozycją zasługującą na szczególną uwagę, nie tylko dlatego, że przynosi duży materiał poznawczy dla dziejów kraju „30 razy większego od Polski” w historycznym dla niego momencie przebudowy całokształtu życia. W naszym powojennym ruchu wydawniczym mało mieliśmy tak interesujących pozycji dotyczących zagadnień wsi. „Słońce nad rzeką Sanghan” — to książka o rewolucji na wsi chińskiej.

Bohaterami powieści są mieszkańcy wsi Ciepłe Wody. Myślby się jednak ktoś, kto by sądził, że znajduje tam przede wszystkim wschodnią egzotykę. Jest to książka o nowych ludziach, chińskich, o nowych sprawach tych ludzi. Problem zasadniczy powieści to przeprowadzenie reformy rolnej we wsi Ciepłe Wody w okresie wyzwolenia Chin przez armię Mao Tse-tunga. W chwili, kiedy Armia Ludowa toczyła bohaterskie walki z wojskami Kuomintangu, na terenach wyzwolonych rozpoczęła się nowa walka — walka z posiadaczami — feudalami, walka o utrwalenie demokratycznej władzy ludu. Te właśnie sprawy pokazuje Ting Ling.

Podczas lektury „Słońce” przypominają się natrętne reportaże Konstantego Simonowa pt. „Walczące Chiny”. Obie te książki pokazują bowiem dobitnie rys charakterystyczny wsi chińskiej — jej wysokie wyrobieństwo klasowe. Złoty świat na to sytuacja w Chinach przedrewolucyjnych; doprowadzona do ostatecznych granic feudalizacji. Grzegorz Jaszuński charakterystycznie lakonicznie wieś chińską w następujących słowach: „...Obszar ten stanowił zaledwie kilka procent ludności skupił całą niemal ziemię i obrócił setki milionów chłopów w niewolników w dosłownym znaczeniu tego wyrazu”. Krzywdą społeczną, nierównomierny podział ziemi, bogactwo obok nędzy — zjawiska te istniejące od wielu setek lat spowodowały również zapóźnienie kulturalne wsi. I tak zgodnie w parze szła nędza obok analfabetyzmu, nienawidzący do wroga klasowego obok lekku przed jego wszechpotężną dotąd siłą. Chińska partia komunistyczna stanęła przed zadaniem równomiernego zlikwidowania tych zjawisk. Partia wie, że nie wystarczy tylko dać biedniakowi ziemię — trzeba jeszcze, aby wiedział dlaczego ją otrzymuje, a biorąc ją w posiadanie poczuł się nie tylko gospodarzem swej działki, ale także całego ogromnego państwa ludowego, walczył o jego umocnienie. Partia przystępuje do mobilizowania biedaków.

„Szeroki front” organizowany przeciwko bogaczom ogarnia całą wieś. Jest on jednak bardzo różnorodny. Hou Czung-tsin-an, biedak wyszły przez Hou Tien-kua, oddaje otrzymaną po reformie rolnej działkę ziemi swemu dotychczasowemu ciemięzcy. Bity przez tyle lat, wyszukiwany i oszukiwany niewolnik „oddawał Hou Tien-kujowi nie tylko swoją pracę; wyszukiwacz ten załatwiał wszystkim jego myślenia i duszę”. Tak więc w tym narastającym wciąż froncie są chłopci lekkolubni — świadomości ich władają jeszcze wyszukiwacze. Ale ci są nieliczni. Obok nich wyrastają wciąż młodzi, uświadomieni działacze, którzy rozumieją procesy zachodzące wokół nich, nie pozwalają biedniakowi ulec bojaźni, mobilizują ich do walki. Są to młodzi rewolucyjni, ludzie, którzy przeszli szkołę w walkach armii wyzwoleniczej, wreszcie działacze wychowywani przez partię. Wiedzą oni, że odtąd przebudowa życia należy tylko do nich. Młody Hou Tsing-hua powiada: „...Budda nie jest naszym bogiem. Przez tyle lat palił się dla niego świecę a on nawet uwagi na nas nie zwrócił. Teraz zaś przyszło zarządzenie przewodniczącego Mao Tse-tunga i od razu obdarowano nas ziemią”.

Przeprowadzenie jednak reformy rolnej nie przychodzi łatwo. Do pomocy w wykonaniu zadania obok aktywistów wiejskich sojów „ludzie z okręgu”. Praca brygady partyjnej pokazana jest w powieści w sposób niezwykle interesujący. Mamy tu bowiem do czynienia z działaczami, którzy współpracują z aktywnym wiejskim uczą się wraz z nim rewolucyjnej taktyki. Tak jest w wypadku Uen Tsia, który przyjeżdża „mądrym mądroską książkową”, chce chłopów oświecić i przeprowadzić ich „ideologiczną mobilizację”. W trakcie pracy brygady zrozumiał sprawę zasadniczą, zrozumiał zadanie: „...Najważniejsze, aby iść ramię w ramię z masami, pomagać im we wszystkim, zasięgać ich wskazówek, jeśli potrafimy — zrozumieć co dla

nich jest najważniejsze, to zadanie nasze zostanie spełnione.”

Akcja rozwija się wraz z narastaniem organizującej się wciąż walki. Brygada z okręgu wraz z aktywnym wiejskim przygotowuje ostateczną rozgrywkę z bogaczami. Muszą walczyć ze zorganizowaną „zmową kupańską”. Podstępne wybiegi Tsien Uen-kuja, czy Hou Tien-kua do złudzenia przypominają fortele naszych kulaków (przypomnę tu choćby Wrobla ze „Zwycięstwa” J. Warmińskiego). Wieś waha się, nie zawsze umie zrozumieć podstawowe przyczyny ich wybiegów. A bogacze wskazują zdumiewające wyrobieństwo klasowe, wiedzą, że „z rządów komunistycznych korzyści mają tylko biedacy”. Zagrożeni w swoim stanie posiadania placzliwie chcą się „zrzec majątku na dobro ludu”. Tsien Uen-kuj próbuje wykorzystywać fakt, że jego syn służy w Osmiej Armii. Ale tutaj właśnie działacze nie dopuszczają do oszukiwania ludu. Punktem kulminacyjnym w rozprawie biedaków z bogaczami staje się zebranie, na którym lud oskarża Tsien Uen-kuja. Wieleletni wyszukiwacz, układowy i przebiegły staje przed zgromadzeniem ludu, które demaskuje wszystkie jego podłości. Mieszkańcy Ciepłych Wód pozbawiają się najgroźniejszego wroga — stają się prawdziwymi wolnymi obywatelami wsi.

Jeżeli za kryterium bojowości i rewolucyjności działacza komunistycznego przyjmujemy dewizę: „Wszystko dla ludu”, to w książce Ting Linga zostali pokazani ci nowi, pozytywni bohaterowie ustroju komunistycznego tacy jak Czang Jii-min i agitator Czang Pin. Nie w ich działalności nie ma z fałszywego ofiarstwa, taniego poświęcenia. Ludzie współpracujący z nimi umiają to docenić; za miłość, pracę, poświęcenie.

Na podkreślenie zasługuje niezwykle serdeczny stosunek ludu chińskiego do swych przywódców. O „towarzyszu Mao” mówi się nie tylko na zebraniach i akademiach, mówi się o nim w życiu codziennym z pełną prostotą serdecznością. Nie budzi zdziwienia propozycja, aby przed portretem Mao Tse-tunga zapalić kadzidło; wiemy, że to miało być tylko wyrazem głębokiej miłości. Nieświadomemu przekonano wkrótce, że „przewodniczący Mao” nie uznaje za babołów. Proste słowa piosenki: „Na wschodzie wszędzie słońce czerwone — w Chinach urodził się Mao Tse-tung” pokazują jak serdecznie myśli wdzięczny lud o swym wodzu.

Konflikty zarysowane w powieści Tsing Linga są nie tylko prawdziwe — są typowe, socjalistyczne. Co stanowi jednak o specyfice tej chińskiej powieści, dlatego jest ona inna niż książki dotyczące zagadnień wiejskich Babajewskiego. Pawlenki czy Gałajca? Socjalistyczne konflikty w narodowej formie? Tak. Ting Ling nie dał postaci schematycznych, jego bohaterowie są prawdziwi, związani głęboko z kulturą ludu chińskiego, jego obyczajowością. Nie mamy w powieści sztucznych, naciąganych „duchologizmów”, „poszerzenia” psychologii bohatera. Ale działacza każda postać jest żywa, nie papierowa, prawdziwa. Stary, doświadczony Ku, który wreszcie przestaje pilnować cudzych ogrodów, Kuo Fu-kui pełen młodzieńczego zapału i odwagi — oto typowe przykłady tych bohaterów. Mimo bogactwa akcji w powieści ludzie ci nie zostają zagubieni, przeciwnie — są motorem wszystkich spraw. Są oni pokazani nie tylko w pracy politycznej, ale również i w życiu prywatnym, od strony trosk domowych. (Liu Man).

Lecz najbardziej uderza nas u tych ludzi głęboka solidarność i miłość klasowa — jeśli tak rzec można. Przypominają się słowa przysięgi, jaką składają chińscy żołnierze: „Pomścimy swoją matkę, pomścimy swych braci klasowych”. To właśnie ta najbardziej humanistyczna miłość do wszystkich uciśnionych spowodowała zwycięstwo Ludowej Armii Chińskiej, uwarunkowała przemianę socjalistyczne wielkiego narodu.

Zenona Macużanka

W POPRZEDNIM NUMERZE

Janusz Warmiński — Jak powstała sztuka „Zwycięstwo”. Antonia Pietrzak — Zwycięstwo upartyjnionej biedoty. Władysław Strzalecki — Pietrzakowa. Józef Mogza — Do nowych zwycięstw. Mieczysław Markowski — Panorama polityczna. Zbigniew Chyliński — A nasza dźwignia? Przed drogą na Sybir. W sprawie partii „Proletariat”. Jack Sprawy — Lenin w Londynie. Teofil Kowalczyk — Jest kraj. Stanisław Kisielski — Drohiczyn i nasze gimnazjum. Roger Garaudy — Przypominamy. Marian Przybylski — Będzie komunista. Zdzisław Wrobel — Lud francuski pokromi

Edward Martuszewski

We Włoszech de Gasperiego

Film Vittoria de Sica „Złodzieje rowerów” jest bodajże najlepszym filmem włoskim wśród tych, które widzieliśmy na naszych ekranach. Pokazuje on życie człowieka pracy we Włoszech p. de Gasperiego. Bohaterami filmu są: Antonio Ricci i jego syn Bruno. Antonio po długim okresie bezrobocia, które jest jednym z następstw planu Marshalla we Włoszech, dostaje wreszcie pracę, ale pod warunkiem, że stawi się do niej z własnym rowerem. W tym celu żona Antonia, Maria, oddaje do lombardu białeńskie poscielowe.

Następnego dnia, w chwili, gdy Antonio rozlepił na ścianie afisz, reklamujący hollywoodzkie „dzieła sztuki”, a mianowicie „Gilde”, jakiś uliczny złodziej kradnie mu rower. Pogoń nie daje wyniku, doniesienie na policję nie rokuję nadziei, jako że policja p. Seelby ma większą wprawę w strzelaniu do chłopów zajmujących nieuprawnioną ziemię obszarniczą i do strajkujących pod wpływem głodu robotników Lombardii, niż w szukaniu skradzionych rowerów. Któż to się zresztą do policji zgłosił? Jakże tam bezrobotny... Jeden z miliońskiej masy bezrobotnych...

Ograbionemu nie pozostaje nic innego, jak tylko — ukrywając całą sprawę przed żoną — wyruszyć z matym Bruno na poszukiwanie. Towarzystwem im poznajemy codzienne życie dzisiejszych Włoch — nędzę jednych i wystawne życie drugich, „czarny rynek” i garkuchnie włoskiego Caritasu, wydająca jedynie tylko tym, którzy pobożnie wysłuchali przedtem mszę, widzimy wreszcie zaradność życiową „świętej” wróżki, która wykorzystuje naiwność prostych ludzi i beznadziejność policjanta, doprowadzając do miejsca kłótni.

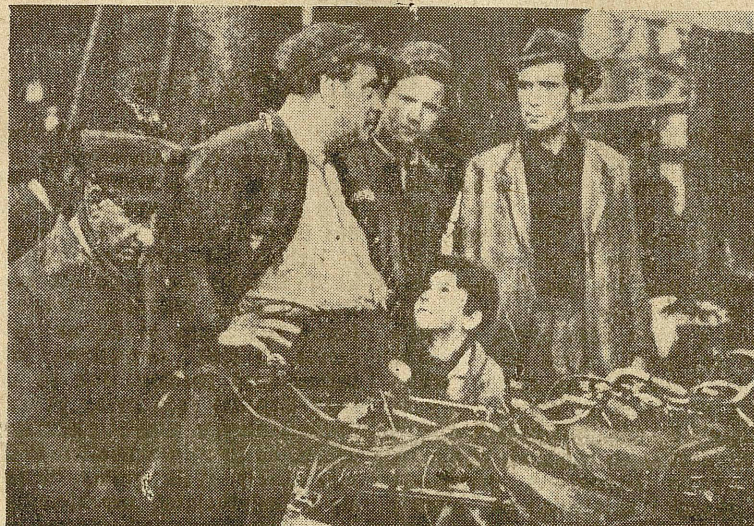
Pod wpływem rozpaczki Ricci postanawia ukraść rower, pozostawiając przez kogoś na ulicy. Odsyła więc syna do domu, lecz chłopak udaje

skich bezrobotnych Antonio Ricci, 2) okrucieństwo jakiejś abstrakcyjnej samotności o nie okrucieństwo ustroju społecznego, 3) walkę o byt a nie walkę klasową.

Dlaczego tak się stało? Winę za to ponosi scenarzysta a nie reżyseria. Wielkość i wartość tego filmu jest bezsprzecznie zasługą przede wszystkim reżysera, który mając w swym dorobku artystycznym trzydziestokilkuletnie doświadczenie aktorskie oraz reżyserię takich filmów jak „Dzieci ulicy” umiał świetnie pokierować niezawodnymi aktorami. Nie zgodził się on na finansowanie produkcji tego filmu przez angielskiego kapitalistę Selznicka za cenę oddania roli Antonia... staremu amantowi Cary Grantowi. Rola bezrobotnego Antonia odzwierciedla prawdziwy bezrobotny — Lamberto Magliorani, z zawodu monter, który po nakręceniu filmu „Złodzieje rowerów” znowu został bezrobotnym...

Magliorani grał więc samego siebie. Umiejętnie pokierowany doświadczoną ręką Vittoria de Sica stworzył krację aktorską, którą nie przedko się zapomina. A ponieważ cały film „stoi” głównie na grze aktorskiej — nie więc dziwnego, że stworzony został film wybitny. Znaczący to, że w kinematografii włoskiej, podobnie jak i w całej kinematografii kapitalistycznej, zasadniczym twórcą filmu jest jeszcze reżyser, a rola scenarzysty ogranicza się właściwie do „poddania” tematu. Cesare Zavattini przerobił na film powieść z życia współczesnych Włoch, ale nie odważył się na bardziej precyzyjną i ideologiczną punktu widzenia jej adaptację. Być może zaciążyła na pracy scenarzysty również obawa przed cenzurą.

Niedoskonałość scenariusza filmu „Złodzieje rowerów” nie umniejsza



Scena z filmu „Złodzieje rowerów” (fot. Film Polski)

tylko, że wykonuje jego polecenie — wkrótce potem jest już przy ojcu, któremu nie udało się kraść, i do którego grono złączonych. Lecz właściciel roweru, przyjrzywszy się Antoniemu, rezygnuje ze złożenia przeciwko niemu doniesienia — poznał w nim widocznego takiego samego „szczęśliwego człowieka z kraju pomocy Marshalla”.

Film kończy się: Antonio Ricci i jego syn Bruno idą przed siebie ulicami wielkiego miasta — bez roweru, bez pieniędzy, bez pracy. Ale film nie mówi, że tu kończy się życie. Nie — takie życie we Włoszech jeszcze się nie skończyło.

Film ten jest nadzwyczaj silny w swym wyrazie artystycznym, a zarazem przejawiającego prawdziwy — pisze M. Pogodin. — Gra aktorów i robota reżyserska, rozwój akcji i najmniejsze szczegóły — wszystko to tworzy jednolitą, prawdziwą dzieło sztuki.

Tak reżyserować, tak grać mogą jedynie ludzie, dla których najwyższym celem sztuki jest walka o lepszą przyszłość uciśnionych, nieszczęśliwych, pokrzywdzonych ludzkości. Jakże głęboko, jak wstrząsająco znają oni i pokazują zaborczą rzeczywistość świata kapitalistycznego! Realizm jest najsilniejszą stroną filmu „Złodzieje rowerów”, ale —

— trzeba to wyraźnie podkreślić — film Vittoria de Sica nie wychodzi poza granice realizmu krytycznego. — Ogranicza się, do demaskowania istniejącego ustroju społecznego. Nie daje nam żadnych perspektyw. Sprawiło to, że Franco Venturini mógł (w lutym numerze „Bianco e nero” z 1950 roku) nazwać ten film „absolutnym arcydziełem filmu włoskiego” dlatego, że widzimy w nim „okrutną samotność, na jaką skazany jest człowiek w walce o byt”.

Reakcyjny krytyk zauważył w filmie: 1) jednostkę osamotnioną a nie „jednostkę typową”, jaką w gruncie rzeczy jest jeden z wielu wło-

niczym faktu, że należy on do nielicznych wyjątków w produkcji kinematografii zachodnio-europejskiej. Świadczy o tym, że w krajach zmarszczonych istnieć opór przeciwko zalewaniu mniejszych kin przez holwoodzką szmirę, że siły postępu są tam żywe i aktywne. Takie filmy jak „Złodzieje rowerów” demaskują w krajach kapitalistycznych fałsz i kłamstwa propagandy burżuazyjnej o „wyzszości” i „szczęśliwości” życia w ustroju kapitalistycznym, dla nas zaś, dla budujących już ustroj socjalistyczny, są dowodem, że świadomość polityczna mas społecznych w krajach zachodnio-europejskich coraz bardziej dojrzała, gdyż masy ludzi pracy tych krajów widzą beznadziejność życia w zgniłym i nieludzkim ustroju kapitalistycznym. Film „Złodzieje rowerów” w artystycznie przekonujący sposób pokazuje nam nie „okrutną samotność jednostki walczącej o byt”, ale okrutną rzeczywistość Włoch de Gasperiego, w jakiej muszą żyć miliony ludzi pracy — włoskich robotników i chłopów.

Edward Martuszewski

(dokończenie ze str. 2)

I takim jest. Pieniądze gromadzi, a następnie kupuje za nie nowe narzędzia rolnicze, maszyny, płaci za pracę najemną — kupuje na czarnym i na białym rynku meble do sypialni, maszyny do szycia i aparaty radiowe...

Na belgradzkim rynku panuje kłócka kartel, który dyktuje ceny. Od niego zależy, czy belgradzki człowiek pracy kupi sobie odrobinę masła, lub jedno choćby jajko, ponieważ tak zwany „gwarantowany przydział” otrzymuje tylko raz około Wielkiejnocy.

6) ZDRAJCZY

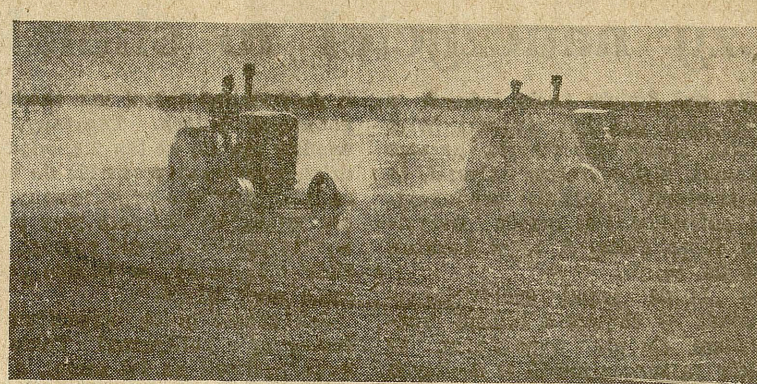
A czy Tito, Kidrić, Kardelj i Džilas. Miliente Lopović nie widzą tego? Nie widzą?

Widzą, jeszcze jak widzą!

Ale...

Morderca nigdy samego siebie nie nazwie mordercą, szpieg swych brudnych uczynków nigdy nie nazywa szpiegowskimi, a demagog nie przyzna się, że łączy i otumania. A titowcy są i mordercami i szpiegami i demagogami. Nadużywają oni imienia komunistów, krzyczą i kłamią, że przemawiają w imieniu narodu, w imieniu tej przyszłości, o którą walczy miliony ludzkich istot. Starają się ukryć swe zbrodnicze dzieła, swe przestępstwa — ręce ociekające ludzką krwią.

Na wsi panuje kulak, sie krew biedniaków i bogosławi władzę titowską. W chłopskich masach pracują-



Na polach węgierskiej spóldz. prod. Foto A.P.I.

Danuta Kępczyńska

Wieś węgierska na przełomie

Fakt, że „Pieśń życia” Sandora Sasdi*) jest jedną z pierwszych tłumaczonej literatury węgierskiej, dostatecznie uzasadnia potrzebę obszerniejszego omówienia tej książki. Nie wyczerpuje jednak przyczyn, dla których jest ona specjalnie interesująca, dla polskiego czytelnika.

Sandor Sasdi po powrocie do kraju w r. 1945, wydał powieść autobiograficzną „Biały chleb”, w której opisał swoje przeżycia obozowe w Dachau, Ravensbrück, Methausen. W następnych powieściach „Ośiem morgów ziemi” i „Pod lasem” autor oddał się od tematyki wojennej, aby w „Pieśni życia” dać brystry, precyzyjny niemal obraz przemian społecznych na wsi węgierskiej. Wskazując książki są przeżycia chłopca Karoly'a Bako i jego rodziny w trudnych warunkach przebudowy powojennej kraju. Bako załadował dnia pewnego na wóz żonę, dzieci, psa oraz nędzne sprzęty i ruszył do dalekiego Magyarkalaz, gdzie czekało na niego 15 holdów**). Ziemi i dom z przydziału. W ten sposób pałęgał na zawsze dwór, w którym był farnalem i życie, w którym — chłop do piero teraz czuje, jaka to była niesprawiedliwość, że nie tylko sam nie posiadał ani piędzi ziemi, ale za parę groszy kupowano jego siły. Prawdą mówiąc, nigdy nie nadszedł do syta w swoim życiu”.

Nowe życie osadników — we własnym domu i na własnej ziemi — nie jest łatwe. Autor ukazuje zastraszający się antagonizm między małorolnymi osadnikami, przybyłymi do wsi na skutek przesunięć ludnościowych lub reformy rolnej a kulakami i mniej lub bardziej ukrytą reakcją wiejską. Na pierwszym etapie tej coraz bardziej świadomej walki o lepsze jutro osadnicy są niezorganizowani i osamotnieni. Przewaga ekonomiczna bogaczy wiejskich dotkliwie daje się we znaki biedocie.

Sasdi, który sam pracował przez kilka lat jako chłop małorolny w osadniczej wiosce, potrafił niezwykle trafnie i subtelnie zanalizować proces wzrastania świadomości osadników, łączenia się i umacniania wszelkich elementów postępujących wsi, skupiających się wokół Bórcza, przedstawiciela Partii Komunistycznej. Jednocześnie metody sabotażu reakcji stają się coraz bardziej cyniczne. Wielką zasługą autora jest ukazanie drobnych i naporczych znaczących faktów podstępnej działalności reakcji we właściwym świetle. Sasdi potrafił przekonywująco uwiarygodnić, że za śmiercią małej córki Karoly'a Bako Erzsiki odpowiedzialność spada na sąsiada — bogacza, gdyż ten w decydującym momencie odmówił pożyczenia 2 metrów kukurydzy, za którą Bako mógłby dostać penicylinę. Z niewinnej rozmowy prowadzonej u proboszcza „w swoim kółku”, z przetrzymaniem w ciągu godziny przez urzędniczkę na poczcie telegramu wyrażającego sprawy tak poważne i doniosłe w swym ogólnym znaczeniu, jak ohydny mord dokonany na czynnym członku Partii Komunistycznej, Schönsteine i nawiązanie kontaktów z reakcją podziemną przez Danięgo Lantay'a, byłego oficera Horthy'ego. Jednak uparta, bohaterska praca i solidarność osadników i małorolnych, jak również działalność rosnącego w siłę koła Partii Komunistycznej jest potęgą, która nie tylko paraliżuje plany

reakcji, lecz nadaje wsi nowe oblicze, reorganizuje ją od podstaw, znosi przewagę kulactwa. Toteż „Pieśń życia” to znacznie więcej, niż dzieło jednej rodziny. Proces przebudowy wsi jest w tej książce ukazany jasno i konsekwentnie, a jednocześnie bez uproszczeń i papierowości.

Węgry przed wojną były państwem, w którym 43% gruntów stanowiło własność obszarników. Z tych wielkich latyfundiów magnackich czerpało kolosalne zyski zaledwie 0,02 procent całej ludzkości. W wyniku reformy rolnej ten stan rzeczy zupełnie zmienił. Powstało przeszło 40 tys. nowych gospodarstw, rozdzielono przeszło 2 miliony ha. Jednak młoda współczesna wieś węgierska miała do pokonania olbrzymie trudności. Przed wojną „pamiętki” feudalizmu, zafasane gospodarki w majątkach Esterhazy, Apponyi i Zichyich, „przywilejowanie” hierarchii kościelnej do pogrzebanego w 1946 r. ustroju monarchistycznego, wojenne zniszczenia, brak sprzętu, bydła i budynków swarzą niezwykle podatny grunt dla dywersyj reakcji rolnej i obcej. W ciągu dwóch pierwszych lat po wojnie Partia Drobnych Rolników była terenem działalności węgierskiego wydania „naszego” Mikołajczyka — Ferencza Nagy, wspieranego przez ośrodki imperializmu anglo-amerykańskiego. Ciągłe wzrastająca świadomość ludu węgierskiego wpływała na zdemaskowanie polityki Nagy'ego, który w początku r. 1947 uciekł za granicę. Partia Drobnych Rolników dzięki sojuszowi z klasą robotniczą znalazła po wewnętrznych przesunięciach właściwą drogę...

Dlatego troski i zmagania chłopów węgierskich są nie tylko zrozumiałe dla polskiego czytelnika, lecz co więcej, „Pieśń życia” może mu pomóc w zrozumieniu wielu skomplikowanych zjawisk dnia dzisiejszego, może wpłynąć dodatnio na jego świadomość i wzmocnić poczucie internacjonalistycznej solidarności.

„Pieśń życia” — to tytuł, który sugeruje rozległą powieść epicką. Jednak technika pisarska Sandora Sasdi zbliża się raczej do reportażu, często grzeszy naturalizmem. W opisie życia wsi brak nam przyrody, która jest przecież „warsztatem pracy” chłopca. A przecież kraj, w którym 60% ziemi pokrywają bujne łąny płowo-złotej pszenicy, gęstwa szerokokłosej kukurydzy i jej ciemno-złoty kolb, pachnące kwiaty tytanu i szarawe pola buraka cukrowego, kraj winorośli i podgórszych pastwisk, ciekawych ludowych obyczajów, posiada wiele specyficznych cech zupełnie nie wykorzystanych przez autora w celu uźródlenia swojej powieści nie tylko socjalistyczną w treści, lecz i narodową w formie.

Te właściwości stylu Sasdi'ego wpływają na wytworzenie jakiegoś niemal „kamaralnego” nastroju. Nastroj ten jest niesłuszny i błędny ze względu na dynamikę ukazanych przemian, ostrość konfliktów na wsi węgierskiej. Po przeczytaniu „Pieśni życia” odnośnym wrażeniem, że autor nie wyzwoilił się jeszcze w pełni spod wpływów burżuazyjnej literatury.

„Pieśń życia” kończy się optymistycznym akordem — nie, nie kończy się, raczej zapowiada warunkom traktorem stoncznym jutro wsi, w której już dziś żyć jest dobrze. Można się spodziewać, że dzięki wspólnej drodze, jaką kroczyliśmy, dalsze przekłady ze współczesnej literatury węgierskiej będą nam tak bliskie i zrozumiałe jak książki Sandora Sasdi, książka o życiu nowej wsi.

Danuta Kępczyńska

Na wsi jugosłowiańskiej

bohaterskich Chinach. Tak, my wiemy. I wiemy jeszcze coś: wiemy, panowie titowcy, że wy chcecie w oczach mas skompromitować socjalistyczny sposób życia i przekonać nas, jak nie należy walczyć o nowe życie? Że to stare było lepsze? — Lecz nie uda nam się okłamać nas! My walczyliśmy i w tej walce nie jesteśmy odesłani!

Tak, to jest celem titowców: skompromitować socjalizm w oczach mas pracujących, oćnierz i zniszczyć światło wyobrażenia, jakie masy te posiadają o Związku Radzieckim, rozzerwać sojusz, jaki łączy klasę robotniczą z chłopskimi masami pracującymi, odnowić starą, zniechęcającą przeszłość kapitalistyczną.

I to jest wniosek naszego opowiadania.

A ten, kto napisał następne opowiadanie, opowie nam, jak jugosłowiański chłop pracujący wywalczył sobie prawdziwą wolność, jak ukarał przestępstwo i zdradę, kłamstwo i demagogię. I wtedy rozpocznie się prawdziwe budownictwo wiejskiej gospodarki socjalistycznej, między chłopstwem pracującym a klasą robotniczą rozkwitnie braterski sojusz.

To drugie opowiadanie nie przyjdzie za późno.

Jest ono bliskie, bardzo bliskie. Już się pisze.

Lubomir Borysow

tłum. M. Wilk

*) „Rabotniczesko Delo” nr. 12, 14, 15, 16, 17 — rok XXIII z dnia 12, 14, 15, 16, 17 stycznia 1951 r.

*) Ting Ling, „Słońce nad rzeką Sanghan”, „Książka i Wiedza”, W-wa, 1950.

Czy nauczyciel to ślimak?

We wsi Święte Łaski jednym z nauczycieli jest kol. Trębski. Wieś biedna, ziemie piaszczyste, haszce i krzaki. Kol. Trębski słyszał, że dla założenia spółdzielni produkcyjnej potrzebna jest przede wszystkim dobra gleba. A że w Łaskach jest zła, to:

— „Ja na temat spółdzielni — powiada — chętnie z ludźmi rozmawiam, ale nie wspomina, że należy ją zorganizować w Świętych Łaskach. Brak nam warunków ekonomicznych”.

Osiadł kol. Trębski na Łaskich piaskach, sądząc najwiedźniej, że jest w kraju Murawii, gdzie kolektoryzacja być nie może. Takiego kraju szukał, oprócz kol. Trębskiego, średniak Nikita Gurianow z powieści Panfierowa — „Bruski”. Ale gdyby kol. Trębski przeczytał „Bruski” wziąłby się do walki o socjalizm na swoim terenie.

Chodzi tu o sprawę ważniejszą niż stanowisko jednego tylko nauczyciela. Niech nam on jednak posłuży jako przykład. Co kol. Trębski wie o wsi, w której pracuje? Święte Łaski to przecież „fabryka służących”. Nie wiele pewnie jest tam domów, z których by w okresie międzywojennym i powojennym nie wychodził młodzi i starsi na „służbę”. Gdyby nauczyciel porozmawiał np. z Antkiem Wojdakiem, przystojnym w młodości i zdolnym chłopakiem, który zdrowie stracił na służbach i dlatego nie miał czasu na zdobywanie naukowego „patentu” — doszedłby do przekonania, że walka klasowa jest i w piaszczystych, biednych Łaskach. I walkę tę trzeba prowadzić. Kol. Trębski powinien opowiedzieć nam ile młodych i zdolnych dziewcząt i chłopców wyrwał z upokarzającej służby, jak pracuje pod jego okiem koło ZMP. Ta walka o młodość na pewno ukazałaby mu perspektywę socjalizmu w Łaskach.

Kolega Trębski powiada, że wskutek niskiego uposażenia traci autorytet na wsi. Kiedyś podpatrzy-

li go podobno chłopci jak chodzą w podartych butach. Zapytany, czy wieździe mu się aż tak źle, odpowiedział, że nie ma czasu iść do szewca, taki strasznie zapracowany. Zapracowany? A chłopom przy planowym skupie zboża nie pomógł, koło ZMP nie pomógł, w terenie politycznie nie pracuje.

Jak godzić pracę zawodową ze społeczno — polityczną? Takie pytanie postawił na tej samej, a niedawno odbytej naradzie nauczycieli powiatu skierniewickiego kol. Szymański.

Do pracy trzeba przecież odpowiednio przygotowanych ludzi, a tych brak. Z kim ma pracować nauczyciel? Wypada poczekać, aż miejscowi działacze terenowi ukończą wyższe studia i dopiero wtedy kol. Szymański weźmie się do roboty? Na razie sytuacja wygląda według kol. Szymańskiego tak, że przy pracy ze słabym intelektualnie aktywnym popełnia się tylko same błędy, wskutek czego reakcja zyskuje politycznie teren. Na taką sytuację nauczyciel narazić się nie może. Odpowiedział mu słusznie kol. Olechowicz z Głuchowa. „Czy nauczyciel ma zabiegać o popularność u wszystkich na wsi? Teraz kiedy szkoła przestaje być solidarystyczną instytucją? Czy to dziwne, że nauczyciela musi teraz znienawidzić bogacz, kulak, spekulant, każdy wróg postępu? Walczyć to znaczy mieć sojuszników i mieć wrogów”.

Głosy nauczycieli, jakie tu przytoczyłem wskazują na ten gatunek nauczycieli, których my nazywamy ślimakami. Nie wychodzą ze szkolnej skorupy. Nie są na wsiach, które „ekonomicznie” nadawałyby się do postępu, nie są na wsiach, gdzie był odpowiedni aktywny „Biedaczki? Nie, tylko — ślimaczki. Stawiam prośbę. Napiszcie nam koledzy o takich ślimakach. A ślimaków — prosimy — zróbcie wreszcie samokrytykę i pokażcie różnicę... kulakom.

Józef Mozga

W sprawie gazetek

Rysunki i wierszyki

Oglądałem w kilku wsiach ścienne gazetki, interesując się przede wszystkim wierszowaną satyrą i rysunkami.

Jest oczywiście coś śmiesznego w pijaku, próbującym stawiać chwiejne kroki w tańcu, kiedy inni chłopcy trzeźwi wywijają zamasywione oberka. I wyzyskiwacz, zawsze z zasady gruby, gdy głodzi się po złotej dewizce zegarka, smarując smalcem piastowskie wasy, budzi śmiech. Ale wielką jest szkoda, że rysunki nie są konkretyzowane, nie mówią, że właśnie chodzi o tego lubo tamtego wroga klasowego. Czyżby młodzi redaktorzy gazetek mniemali, że skoro takich jak bogacz i wyzyskiwacz z Błędowej Woli są tysiące, należy więc uogólniać walkę klasową i w rysunku i w rymowanej satyrze?

Oto przykłady takiej satyry:

Choć kulak dziś się pieni i grzyta zębami,
Myśmy silnie zjednoczeni
Pracą zwyciężamy.



Rysunek satyryczny z gazetki



albo:

Nie zastrasza pogrozkami
propagandą wroga,
Jasna droga dziś przed nami,
Oni nas nie zmoją.

Kulak choruje na młodości
od wspólnej pracy i wspólnej własności,
A człowiek pracy i matorośny
chłop tutaj czuje się wolny.

Skoro zaletą artykułów gazetki ściennej jest to, że przemawiają konkretnymi faktami, tego samego trz. ba żądać od rysunków i rymowanej satyry. Najłatwiej zapamiętać dwojcie, czy satyryczny wierszyk. Wędruje po pewnej gminie taka satyra o „chorych” kulakach, tylko wyraźnie wskazującą, którzy to są, po nazwisku i przez szczegóły. Do każdego w gminie dotrze koportowany czterowiersz, jeśli będzie żartował z kogoś w okolicy. Zostanie natomiast zawsze zapomniany ogólnikowy wiersz o kulakach, „co są dziś pieniędzy ze złoci”, bo spółdzielnia powstała.

Wejciech Stelmach

Działy redakcyjne

Aby ścienne gazetki na wsi nie traciły na aktualności winny ukazywać się częściej niż raz na miesiąc lub co najmniej w tych terminach. Wymaga to utworzenia stałych przy świetle komitetów redakcyjnych, tak jak to ma miejsce w fabrykach.

Aby gazetka była żywa, ukazywała całokształt życia gminy, musi istnieć konkretne działy redakcyjne. Wiadomo, że gmina na rozwinięty i skomplikowany aparat pracy. Jest w co wgłądzać. W Gminnej Radzie Narodowej przyjmuje się skargi i zażalenia od mało i średniorolnych, dotyczą one rozmaitych spraw i zakresów ale wiąże się zawsze z bieżącą chwilą. Weźmy choćby pod uwagę najbliższe tygodnie. W każdym dniu i tygodniu trwa jeszcze walka o wykonanie planu skupu zboża. Są już zebrania gromadzkie w sprawie przygotowań do zasiewów a więc i związane z tym planowanie. W tym okresie wymaga się praca Spółdzielczych Ośrodków Maszynowych, gmina żyje sprawą rozprzodzenia maszyn wśród małorolnych. Z POM-ów wyjeżdżają trak-

tory do spółdzielni produkcyjnych, traktorzyści współzawodniczą w jak najwcześniejszym wykonaniu orki. Przygotowuje się pomoc sąsiedzka dla biedniaków. Powstają koła Ligii Kobiet, koła młodzieży ZMP-owskiej. Buduje się w gminie szkoła, Dom Ludowy, świetlica. Można wyliczyć bez końca codzienne wydarzenia. O nich wszystkich winna informować gazetka. Jak to uzyskać? Komitet redakcyjny przez oddziały „poszczególne” za pośrednictwem „poszczególnych” działów, by to co wymieniliśmy przebiegało z instytucjami, uzyskiwały od nich szczegółowe informacje. Byłoby to taki własny, ściennej gazetki, PAF.

Z rozbudową gazetki na działy wiąże się jeszcze jedno. Pisząc w gazetce członkowie komitetu redakcyjnego, posiadający bogaty materiał z całej gminy, nie ograniczają się wyłącznie do gazetki świetlicowej. Wiązali by się z codziennym piśmem. W ten sposób dorastałby mocny, terenowy aktywny korespondentów codziennej prasy.

Andrzej Wera

Gazetki powielane

W n-rze 5 „Wiś” Stanisław Walicki poruszył bardzo istotne zagadnienie drukowania lub powielania gazetki fabrycznych i wiejskich. Ukazujące się gazetki ścienne można podzielić na trzy kategorie: pisane, fotograficzne i pismo-fotograficzne. Dwa ostatnie rodzaje cieszą się największą popularnością. Jeżeli byśmy mieli przejść na gazetki powielane zarzucając formę gazetki ściennych musielibyśmy zrezygnować z fotografii, a to jest zażalenie, nad którym należy się poważnie zastanowić.

W zakładzie pracy, gdzie ukazywałaby się gazetka powielana, ścienne musiałaby zmienić swój dotychczasowy charakter i stać się raczej gazetką ilustracyjną. Prasa codzienna, czy periodyczna nie jest w stanie podać wszystkich wiadomości interesujących robotnika np. fabryki samochodów w mieście x czy chłopca ze spółdzielni produkcyjnej we wsi y. Rolę kolportera doświadczonych produkcyjnych mogłoby częściowo przejąć gazetki powielane, lub drukowane. Piętnowanie bumelantów z jednocześnie ujawnianiem przyczyn takiego postępowania robotników, dokładne informacje o życiu własnego zakładu pracy, analizowanie przyczyn sukcesów — oto m. in. zadania gazetki drukowanej, Rolnikowi trudno jest dokładnie „wgrzyźć się” w omawiane w gazetce ściennej zagadnienie, gdyż odchodząc od niej często nie może zapamiętać wszystkich elementów składających się na treść danego artykułu. Natomiast gazetkę powielaną może sobie gruntownie przeczytać w domu.

Najważniejszym problemem jest, moim zdaniem, odpowiedni dobór członków zespołu redakcyjnego. W gazetkach ściennych niestety zdarzają się jeszcze niekiedy błędy ideologiczne. Temu należy położyć bezwarunkowo kres. Zespół redakcyjny musi odpowiadać w pełni za linię ideologiczną pisma i jego szatę graficzną oraz treść. To, co w gazetce ściennej wykonywało 3 ludzi, w

gazetce powielanej musi wykonywać 6-ciu. Muszą to być ludzie odpowiedzialni i wyrobieni ideologicznie, politycznie i społecznie.

Przy gazetce powielanej nie może być żadnych uchybień w punktualności. Jeżeli zdarzy się, że kilka razy zespół redakcyjny spóźni wyjście numeru, to wówczas czytelnicy stracą zaufanie do zespołu i gazetki, dojdą do przekonania, że gazetka widocznie nie spełnia żadnej ważnej roli, jeżeli nie ukazuje się regularnie. Zespół redakcyjny winien „trzymać rękę na pulsie” miejscowego życia i nie dopuścić do wypadku, by jakies wydanie lokalne, które nie znalazło odbicia w prasie codziennej, a zainteresuje czytelników gazetki zakładowej, nie weszło na łamy gazetki.

Stanisław Walicki wspominał, że „Głos Robotniczy” otacza opieką gazetki ścienne na terenie Łodzi. Ta opieka jest stokróż bardziej potrzebna i konieczna, jeżeli zabierzemy się do drukowania lub powielania gazetki. Rozumiemy, że dziennikarze są zapracowani, że mają „na głowach” dziesiątki obowiązków, ale... gdyby tak wszystkie redakcje zobowiązały się do roztaczania fachowej opieki nad gazetkami fabrycznymi i spółdzielniczymi? A przecież są jeszcze studenci Sekcji Dziennikarskiej na Uniwersytecie w Warszawie i Krakowie. Też są zajęci? Zgoda. Ale, gdyby postanowiono to zajęcie potraktować, jako połączoną ze studiami praktykę (niezależnie od praktyki wakacyjnej)?

W Związku Radzieckim od dawna, każdy większy zakład pracy wydaje na swym terenie gazetkę powielaną, a w bardzo wielu wypadkach drukowaną. Wydrukujmy lub powielmy kilka pierwszych takich gazetek, niech to będą gazetki próbne, doświadczalne, niech zachęca działaczy partyjnych i społecznych do opieki i pomocy, niech gazetki wieloegzemplarzowe staną się orzeźm na zakładach pracy i na wsiach dla urzędywaleństwa wielkiego Planu 6-letniego.

Jerzy Waczyński

U wiejskich zetempowców

Zadania

Niedawno temu weszły w życie uchwały Plenum ZG ZMP. Uchwały te stawiają przed aktywnym wiejskim ZMP bardzo poważne zadania. Streszczy je pokrótce:

1. Umasowić organizację. Obecnie aktywny wiejski ZMP (nie licząc PGR) skupia 200.000 młodzieży, a powinien liczyć milion.

2. Rozwinąć szeroko pracę polityczno-wychowawczą wśród członków i na całej wsi, w oparciu o Partię. „ZMP musi dostarczyć dyspozycyjnego, starannie przygotowanego aktywu” by był on agitatorem i komentatorem polityki Partii i Rządu, by umiał wyłożyć np. korzyści płynące z kontraktacji, sposoby uwalniania mała i średniorolnych od jarzma kulackich długów, zasady progresywnego obliczania podatku gruntowego, uprawnienia Komisji Kontroli przy Gminnej Radzie Narodowej...”

3. Wzmocnić walkę o podnoszenie gospodarcze wsi. Zgodnie z założeniami Planu 6-letniego produkcja rolna wzrośnie o 50 proc. Ale będzie to wzrost dokonany w wię-

kszości jeszcze na bazie indywidualnych gospodarstw. Na aktywny ZMP-owski spada obowiązek pomocy w propagowaniu metod nowoczesnej gospodarki. Młodzi będą walczyć o racjonalny płodozmian, stosowanie silosów, zabezpieczenie obornika, orkę z przedłużeniem, siew rzędowy, stosowanie maszyn, nawozów, nasion selekcyjnych, kontraktację, stałe i opłacalne ceny dla chłopów itp.

4. Zaktywizować młodzież na froncie socjalistycznej gospodarki na wsi. „Obowiązkiem koła ZMP w spółdzielniach produkcyjnych — czytamy w uchwale — PGR-ach i POM-ach jest mobilizacja młodzieży do wykonania zadań produkcyjnych przez inicjowanie i organizowanie współzawodnictwa pracy, organizowanie różnego rodzaju brygad i ogniw produkcyjnych jak np. Brygady Wysokiego Urodzaju i Zespoły Dokładnej Orki... Trzeba przyjąć jako zasadę, że każdy aktywista wiejski poświęca godzinę dziennie na studiowanie techniki i agrotechniki”...

P. P.

Trzeba dbać o „prawą rękę”

Zdarzyło się w łączącym powiecie, że w czasie trwającej jeszcze akcji skupu zboża, wskazał 16-letni ZMP-owiec na wielki, niewymyślony stóg bogatego chłopca. Kulak przepędził chłopca kijem, a następnie z fantazją, na kilku własnych furmankach, obwiezionych transparentami, odstawił „dobrowolnie” zboże. Gdyby jednak młody ZMP-owiec był wsparty przez miejscową Podstawową Organizację Partijną czy przez ZMP z powiatu — kulak nie mógłby odegrać na oczach całej biedniackiej gromady roli „postępowego” chłopca. Kulak odstawił zboże, o ZMP-owcu, który fakt ten spowodował — zapomnieli. Conajwyżej ten i ów spóźniony starszych chłopów nawymyślał mu od smarkaczy i poraził na przyszłość, aby nie mieszał się do spraw „dorosłych” ludzi.

W Starbie Cichej, cichej „jak u Pana Boga za piecem”, z dala od szos i kolei niejele pocyna sobie ksiądz. 28 członków ZMP w niesłychanym trudzie, na własny koszt odremontowało świetlicę i zabrało się z zapalem do nauczania 8 alfabetów spośród swoich członków. Ksiądz do zwalczania analfabetyzmu wprowadził rękę nie przyłożył, doszedł jednak do przekonania, że skoro umięją już czytać i pisać, znajdzie dla nich zatrudnienie. I oto córki dwóch najbiedniejszych we wsi chłopów, przeniosły się z koła ZMP do „rożnca”, który ze względu na konkurencyjnych odbywa się równocześnie z zebraniem koła młodzieżowego. Przewodniczący koła Czupryński Ryszard skarży się na brak należytej opieki ze strony Partii. Opowiada, że kiedy miejscowy leśniczy wyruszał na cały dzień do Nadleśnictwa — niczem pątnik — pieszo, bo roweru nie posiada, ZMP-owcy opiekują się nie-małą gromadką jego dzieci. Inny również. Prowadzą osobliwy dzieciniec. Sami zaś pozbawieni są opieki. Gdyby mieli opiekę, nie ubywałoby, lecz przybywało członków koła. Kulak Dominik z sąsiedniej wsi nie zabrakłby z samopomocowej spółdzielni całego cementu. Dostaliby go ZMP-owcy na budowę schodów do świetlicy. Na razie wskazuje się do niej przez wysoko podmurowany próg.

W Pleckiej Dąbrowie (kutnowskie) chwala się, i słusznie, ZMP-owcy dużym zespołem orkiestralnym. Ale do zespołu wdali się pan nauczyciel Krajewski i poprowadził chłopców w ten sposób, że grwali na kościelnym chórze, natomiast na państwowej akademii brakowało im



zawyczać instrumentów... i... nut. Młodzi chłopcy z ZMP nie umieli sobie poradzić z uczonymi argumentami pana nauczyciela. Dlaczego tak się stało? Zarząd Gminny ZMP oderwał się od Partii, co równocześnie znaczy, że podstawowa organizacja nie bardzo wzięła chłopców pod swoją opiekę.

Podane fakty wskazują na niepokojące zjawisko. Oto młodzi ZMP-owcy nie zawsze są traktowani jako realna (ale conajwyżej tylko potencjalna) a więc, zdolna pomoc Partii siła społeczna. Jeżeli nazwywa się ich „smarkaczami”, lub jeszcze dosadniej — to niewątpliwie mamy do czynienia z „wodą na młyn” kulactwa. Siłę społeczno-polityczną „brygad lekkiej kawalerii” poznało już bogate chłopstwo aż nadto dobrze, by nie korzystać z każdej okazji „żartowania” z młodych ZMP-owców, kiedy żartują sobie, być może nawet bezwiednie, członkowie postępowych organizacji na wsi. Wynikają z tego, że w Gminnych Radach Narodowych nie często jeszcze zasiadają ZMP-owcy natomiast „starsi” gospodarze nieradko szkolą na planach GRN-ów młodych korespondentów. Praktyka wskazuje dowodnie, że nie wiek decyduje o kwalifikacjach do udziału w życiu społecznym gromady lecz polityczna dojrzałość.

I jeszcze jedno z przyczynowych faktów wynika. W wielu gromadach i gminach nasz najcenniejszy aktywny pracuje i walczy samotnie. ZMP jako „prawa ręka Partii” — oznacza konkretne zadania zarówno dla organizacji młodzieżowej jak i Partii.

Silna i zdecydowana pomoc Partii zagwarantuje wykonanie uchwał ostatniego Plenum ZG ZMP przez terenowy aktywny młodzieży wiejskiej.

Piotr Pigwa

„Życie literackie”

Nowy ilustrowany dwutygodnik społeczno — literacki odzwierciedla współczesność w prozie artystycznej, poezji, reportażu i satyrze. Ocenia nowe wydarzenia w dziedzinie literatury, teatru, filmu, plastyki i muzyki. Zapoznaje z życiem kulturalnym Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej. Omawia aktualne problemy upowszechnienia kultury, ukazuje w nowych ujęciach postępowe tradycje przeszłości.

W najbliższych numerach zamieszczą swe prace:

L. M. Bartelski, Aleksander Baumgarten, Kazimierz Brandys, Marian Brandys, Jan Brzechwa, Jan Brzoza, Kornel Filipowicz, Ludwik Flaśka, Zygmunt Gren, Jerzy Horodyski, Zdzisław Hierowski, Maria Jarochowska, Andrzej Kijowski, Jalu Kurek, Leopold Lewin, Jerzy Lovell, Władysław Machajek, Henryk Markiewicz, Ryszard Matkuszewski, Gustaw Morcinek, Hanna Mortkowicz-Olczakowa, Zofia Nalusowska, Stefan Otwinowski, Adam Polewka, Marian Promiński, Jerzy Putrament, Stanisław Skoneczny, Włodzimierz Stobodnik, Wilhelm Szwed, Wiesława Szymborska, Anna Świrszczyńska, Henryk Vogler, Jan Wiktor, Witold Wirpsza, Adam Włodek, Andrzej Wydrzyński, Stanisław Wygodzki, Kazimierz Wyka, Jerzy Zagórski.

Adres redakcji: — Kraków, Rynek Główny Nr 11 — 1 p. Oddział w Katowicach, ul. 3 Maja 36a. Oddział Związku Literatów Polskich. Adres Administracji — Kraków, ul. Wiśłana 2 — tel. nr 538-41 i 536-23.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 1,50 zł, kwartalnie — 4,50 zł, półrocznie 9 zł, rocznie 18 zł. Cena pojedynczego egzemplarza 75 groszy. Należność za prenumeratę na miesiąc następny należy wpłacać do 20 bm. na konto PPK „Ruch” — Oddział prenumeraty PKO Nr IV-8735. PIERWSZY NUMER UKAZAŁ SIĘ Z DATĄ 4.II.51. OBJĘTOŚĆ 16 STR.

KONKURS FOTOGRAFICZNY

Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych

ogłasza Konkurs pod hasłem:

„Wieś w fotografii”

w konkursie może wziąć udział:

1. KAŻDY KTO POSIADA FOTOGRAFIE przedstawiające życie wsi polskiej od czasów najdawniejszych do roku 1945, BEZ WZGLĘDU NA TO, CZY JEST AUTOREM ZDJĘĆ, CZY NIE. Specjalnie poszukiwane są fotografie obrazujące zacofaną gospodarkę wsi, złe warunki bytu na wsi, prymitywną hodowlę zwierząt w czasach dawnych, do roku 1945. Poszukiwane są również fotografie: z życia dworów, ze strajków rolnych i walk chłopstwa z sanacją, a także zdjęcia z życia wsi w czasie wojny, partyzantki i okupacji.
2. KAŻDY FOTOGRAFUJĄCY ZAWODOWO CZY Z AMATORSTWA, jeżeli posiada zdjęcia z życia wsi polskiej PO ROKU 1945. W tym dziale szczególnie poszukiwane są fotografie obrazujące pracę przy pomocy nowoczesnych maszyn rolniczych, racjonalną hodowlę roślin i zwierząt, kulturę, oświatę i higienę wsi współczesnej, a więc wszelkie fotografie odnoszące się do postępowych metod pracy na wsi polskiej w zakresie gospodarki rolnej i nowych form organizacyjnych i przemian zachodzących na wsi.

Za najlepsze nadesłane na konkurs fotografie przyznane będą

Liczne nagrody pieniężne:

I nagroda — 2.000 złotych

dwie II nagrody po 1.500 złotych

oraz 18 dalszych nagród w wysokości od 350. — zł do 1.000 zł. Poza nagrodami przewidziane są zakupy nadesłanych zdjęć i wyróżnienia.

Termin nadsyłania fotografii: 30 kwietnia 1951 r.

Organizator Konkursu:

Polskie Towarzystwo Fotograficzne

Oddział w Warszawie

Warszawa, ul. Śniadeckich Nr 10

Każdy, kto interesuje się Konkursem, otrzyma dokładne warunki Konkursu ze szczególnym podaniem tematyki, wyliczeniem wszystkich nagród, oraz z wskazówkami dotyczącymi sposobu opakowania i wysyłki fotografii. Należy jedynie zażądać tych danych pocztówką, zaadresowaną do Polskiego Towarzystwa Fotograficznego, Warszawa, ul. Śniadeckich 10, podając swój adres.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redakcyjny Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starzyńskiego Nr 7.

Prenumerata 1 Kolportaż: P. P. K. „Ruch”. Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25.

Tel. Red. Nacz. 72. Tel. Redakcji 751-80. Wewnętrzny 23 i 80.

Wyd. SPOŁDZIELNIA WYDAWN. OSW. C Z Y I E L N I K. REDAKCJA NIE ZAMAWIANYCH REKOPISÓW. NIE ZWRACA.

Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzywy 18. Chmielna 25.

Warunki prenumeraty:

miesięcznie 3-zł.; kwartalnie 9-zł.; półrocznie 18-zł.; rocznie 36-zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa VII-1080/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wiś”.

Drukarnia nr 2 Spółd. Wyd. Osw. „Czytelnik”. Marszałkowska 3/6

2-B-10872